MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 40. WARSZAWA, 29 WRZEŚNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

UKRAIŃSKIE HOROSKOPY

TAK SIĘ JAKOŚ STAŁO, że uwagi społeczeństwa uszedł pewien epizod wyborczy, z którego wyłania się niecodzienna w naszem życiu państwowem niespodzianka, w polsko-ukraińskich stosunkach. Dotąd była walka zdobywcza po stronie ukraińskiej na polu budowania ukraińskiej społeczności spółdzielczej, stwarzania nowej inteligencji chłopskiej, utrwalania ukraińskiej samowystarczalności gospodarczej. Tę pozytywną działalność prowadziło U.N.D.O., wzmacniając swój autorytet. Równocześnie dla tej szarej, codziennej pracy konspiracja rewolucyjnych żywiołów ukraińskich tworzyła nieustannie efekty bojowe. Była pacyfikacja, padł śp. Hołówko. A życie szło dalej swoją drogą...

U ostatniego kresu tej drogi stanęły wybory, poprzedzone na terenie wschodniej Małopolski porozumieniem z U.N.D.O. Już samo porozumienie było niespodzianką, ale jeszcze bardziej nieoczekiwany jest sens tego porozumienia w interpretacji ukraińskiej. Tej interpretacji najciekawszym dokumentem jest artykuł urzędującego wiceprezesa U.N.D.O. red. Wasyla Mudrego w lwowskiem czasopiśmie ukraińskiem „Szlach Nacji". Istotny jego ustęp brzmi:

„Panująca na Ukrainie Radzieckiej komunistyczna dyktatura rosyjska prowadzi bezwzględnie politykę niszczenia ukrainizmu. Trzeba go ratować. Któż to może uczynić? Rzecz jasna, że tylko ci ukraińcy, którzy siłą wypadków historycznych znaleźli się poza granicami Z.S.R.R., którzy mają bezpośrednie stosunki z europejskim i wogóle z międzynarodowym światem politycznym, słowem ci ukraińcy, którzy żyją na zachód od granicy bolszewickiej. Najwięcej sił, najwięcej wyrobienia, a wskutek tego najwięcej obowiązków wobec wszystkich ukraińców ma bezwątpienia ta część wielkiego narodu ukraińskiego, która znalazła się w Polsce".

„Objektywnie trzeba stwierdzić, że miała ona najwięcej swobody ruchów, najwięcej stosunków ze światem i najwięcej możności odgrywania zaszczytnej, ale równocześnie trudnej i odpowiedzialnej roli nietylko obrony wszystkich ukraińców, ale i przygotowania ich do wielkiej misji historycznej na europejskim Wschodzie. Wykorzystywała ona to według swych sił i środków, ale nie wpełni, gdyż była zajęta ważnym odcinkiem polsko-ukraińskiej walki politycznej. Z chwilą zapoczątkowania zasadniczej przebudowy państwa polskiego zachodni ukraińcy mogliby stracić objektywne warunki dla wypełniania wspomnianej roli przy dalszem prowadzeniu wyczerpującej walki na odcinku polsko-ukraińskim".

„Z uwagi na to kierownicze czynniki U.N.D.O. zdecydowały się na tym odcinku koniecznie doprowadzić do porozumienia polsko-ukraińskiego za cenę stworzenia na ziemiach zachodnio-ukraińskich warunków Piemontu dla potrzeb wszystkich ukraińców. Dlatego na czoło zadań politycznych obecnego momentu U. N. D. O. postawiło hasło: stworzyć w Polsce na ziemiach ukraińskich takie warunki, które zabezpieczyłyby narodowi ukraińskiemu możność wszechstronnego rozwoju, konsolidacji sił i wszechstronnego gromadzenia jaknajwięcej wartości narodowych. W tym celu przedstawiciele U.N.D.O. nawiązali rokowania z polskiemi czynnikami urzędowemi. Stało się to 29 maja 1935 r.".

„U.N.D.O. zapoczątkowało zatem realną politykę praktyczną celem normalizacji stosunków polsko-ukraińskich w Polsce ze względu na wielkie historyczne zadania ukraińców w walce o restaurację państwowości ukraińskiej. Wysuwając w Polsce hasło politycznej walki legalnej o maksymalne prawa narodu ukraińskiego, t. zn. o autonomję terytorjalną, U. N. D. O. sprecyzowało cały szereg postulatów, które wymagają szybkiego i niezwłocznego załatwienia. Rzecz jasna, że U.N.D.O. będzie robiło wszystko, co możliwe, aby te postulaty były stopniowo realizowane. Na tak szeroką i na dalszą metę zakrojoną bazę pracy politycznej i walki padła jako pierwsza — sprawa wyborów do polskich ciał ustawodawczych".

Zaintrygowany tak niezwykłą enuncjacją w „Szlachu Nacji" wybrałem się na pogawędkę do wybranego później senatorem członka U. N. D. O. i dyrektora centralnej władzy spółdzielczości ukraińskiej, p. Łuckiego. *„Rewizyjnyj Ukraińskij Sojuz"* we Lwowie mieści się w budynku przy ul. Mickiewicza, gdzie dawniej urzędowała dyrekcja policji.

Wchodzę do pięknie umeblowanej poczekalni i oglądam zdobiący ją obraz ukraińskiego artysty-malarza Trusza, wyobrażający zasypaną śniegiem mogiłę. To symbol walk polsko-ukraińskich pod Lwowem. Z samotnej mogiły wznosi się krzyż.

Senator Łuckij, w sile wieku mężczyzna, zaprasza mnie do swego gabinetu. Po dłuższej rozmowie na temat rozwoju spółdzielczości ukraiń-

skiej, kierujemy pogawędkę ku tematom politycznym.

— Walczyć nam, ukraińcom — padają dokładnie odważone słowa — na wszystkich frontach byłoby romantyzmem. Wśród ukraińców decydującą stała się świadomość, że sprawa ukraińska rozegra się na froncie ukraińsko-rosyjskim. Przyszedł zatem taki moment, że należało się zdecydować pod kątem nastawienia antyrosyjskiego i antysowieckiego. Z natury rzeczy łatwo nam było porozumieć się z tym obozem polskim, który uzgodnił swą rację polityczną z Niemcami, a nie z Rosją.

— Zatem ukraińsko-niemiecka *„prydumka"*?— wtrącam ostrożnie.

— Niemcy nie grają tu żadnej roli. Już nadszedł taki czas, że my, ukraińcy, czujemy się podmiotem, a nie przedmiotem.

— Rapallo...

— O tak, legalny obóz ukraiński uważał Niemcy z okresu Rapollo za swego wroga. Bliższe są nam Niemcy Hitlera z ich antyrosyjskiem nastawieniem. Ale te ukraińsko-niemieckie kontakty— to tylke margines polityczny.

— A zatem Piemont...

— No tak. W razie wojny antypolskie nastawienie społeczeństwa ukraińskiego byłoby nam wielką przeszkodą, którą zawczasu należy usunąć.

Oczywiście wiele z tych wynurzeń i *„prydumek"* trzeba złożyć na karb atmosfery wyborczej. Mając rozgrywkę z radykalnymi faszystami ukraińskimi z t. zw. „Frontu jedności narodowej" (tygodniki: *„Batkiwszczyna"* i *„Peremoha"*), działacze U.N.D.O. ustawili na froncie walki wyborczej najgrubsze *„Berty"* politycznych argumentów, mających ich osłonić przed zarzutami ugodowości, zdrady narodowej i prywaty, jednem słowem „chruństwa", któremi w ich stronę miotano ze strony „Frontu jedności narodowej" i zakonspirowanych kół U.O.N.

W tych okolicznościach ważne było dla mnie usłyszenie opinji z kół „Frontu jedności narodowej".

Z redaktorem tygodników *„Batkiwszczyny"* i *„Peremohy"* spotkałem się oczywiście w kawiarni. Wysoki, o energicznym wyrazie w oczach i rysach twarzy, w średnim wieku mężczyzna — jest głównym publicystą obozu nieprzejednanych. Redaktor Paliiw wręcz mi oświadczył:

— Zaniechanie walki na froncie polsko-ukraińskim byłoby równocześnie uśpieniem nacjonalnej energji społeczeństwa ukraińskiego. Nam nie wolno odpocząć i dlatego politykę U.N.D.O. zwalczamy. Cóż się właściwie zmieni, gdyby nawet p. Celewycz został wicewojewodą połączonych województw Wschodniej Małopolski? Z suchego rachunku zysków i strat nigdy nie wyniknie dla ukraińców korzyść w perspektywie odrodzenia naszej niepodległości. A te argumenty, które pachną wojną, to przecież tylko zwyczajne finty wyborcze. Przecież garnący się do posad poselskich „undowcy" muszą mieć czem *„ludej duryty"*. Zresztą zobaczy pan, że ludność ukraińska zbojkotuje wybory.

Narazie jednak wybory przyniosły ukraińskim radykałom duże rozczarowanie na punkcie niedoceniania wpływów U.N.D.O i jego oparcia o potężną organizację ukraińskich spółdzielni.

Co dalej?

TADEUSZ OPIOŁA

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

W DOBIE OBECNEJ

(Dokończenie)

MIĘDZY przybyłymi oficerami z flot zaborczych wysunął się admirał Kazimierz Porębski, który zagadnienie morskie ujął racjonalniej i szerzej, oraz myśli swoje zaczął propagować nietylko w kołach wojskowych, lecz również wśród szerszego ogółu inteligencji, szczególniej w sferach przemysłowych i handlowych.

Porębski uważał, że Polska powinna wyzyskać w całej pełni przyznany jej dostęp do morza, przedewszystkiem w dziedzinie ekonomicznej, i nawoływał, wobec tego, do skierowania naszego ruchu handlowego w stronę Bałtyku. Prowadził on pracę niezmordowaną, krzewiąc swą myśl wśród bankierów, kupców, przemysłowców i ziemian i zajmując się jednocześnie powierzonem mu zadaniem wojskowem objęcia wybrzeża. O nierozerwalności spraw handlowych z wojskowemi w dziedzinie morskiej zdołał on nawet przekonać Naczelnika Państwa i ześrodkował obydwie te sprawy w przekształconym z sekcji marynarki wojennej departamencie spraw morskich.

W 1920 r. została założona przez Porębskiego szkoła morska w Tczewie, mająca uzupełniać personel marynarki wojennej i handlowej. Nawiązał on też rokowania z wychodźtwem polskiem w Stanach Zjednoczonych w sprawie uruchomienia polskich przedsiębiorstw żeglugowych, a, pozatem, zwrócił uwagę na konieczność eksploatowania morza pod względem rybołówstwa. Wojna polsko-rosyjska 1918—21 r., która po kijowskiej wyprawie potoczyła się do brzegów Wisły, przerwała pracę Porębskiemu i skierowała go ku bezpośrednim zagadnieniom wojskowym, lecz wykorzystywał w nich zawsze zagadnienie morskie. Przedewszystkiem zwrócił on uwagę na możliwość dostaw zaopatrzenia wojskowego drogą morską przez Gdańsk z ominięciem niepewnych dróg lądowych przez Niemcy i Czechosłowację i przyczynił się tem walnie do regularnego zaopatrzenia naszych sił w niezbędny sprzęt bojowy, a jednocześnie wskazał na olbrzymie znaczenie morza w dziedzinie dostaw wojskowych.

Po zakończeniu kampanji rosyjskiej Porębski rozpoczął dalszą pracę nad krzewieniem idei morskiej. Ponieważ gdańszczanie, wierni swym dawnym tradycjom, szykanowali wszelkie próby eksploatacji morza przez Polskę z pominięciem Gdańska, przeto podniósł Porębski projekt wybudowania na przyznanym nam odcinku morskim własnego portu, niezależnego od Gdańska, i zdołał przeforsować w 1922 r. uchwałę sejmową o budowie portu w Gdyni [1]). Zagadnienia ekonomiczne pochłaniały

[1]) Na budowę portu w Gdyni wskazywał inż. wojskowy Władysława IV, Pleitner.

Porębskiego w bardzo dużej mierze, lecz pracował on również i nad wojskowemi. Po założeniu szkoły morskiej w Tczewie [2]) i po rozpoczęciu budowy portu w Gdyni zabrał się on do prac ściśle wojskowych i w 1924 r. przedstawił gabinetowi Władysława Grabskiego program budowy marynarki wojennej, obliczony na 10 lat i mający wskrzesić zapomnianą od czasów Władysława IV-go flotę polską. Program ten został odrzucony przez Grabskiego, jako zbyt kosztowny, i do izb ustawodawczych nie dotarł. Było to jedno z ostatnich posunięć niezmordowanego admirała, które go zgryzło do głębi. Wynikły w dodatku przeciwko niemu intrygi i oskarżono go o niedopatrzenia służbowe. Dochodzenie wykazało całą bezpodstawność podniesionych zarzutów, lecz Porębski, rozgoryczony i zgryziony, opuścił służbę w 1927 r., pozostawiając po sobie wspomnienie niezmordowanego szermierza idei morskiej, twórcy szkół marynarki wojennej i handlowej, pioniera budowy portu gdyńskiego i autora pierwszego programu budowy floty polskiej.

Pracę Porębskiego prowadził dalej minister przemysłu i handlu Eugenjusz Kwiatkowski, który objął wspomniane ministerjum po zamachu stanu, dokonanym przez marszałka Piłsudskiego w maju 1926 r. Sprawy marynarki handlowej wraz z budową portu gdyńskiego przeszły do ministerjum przemysłu i handlu jeszcze w roku 1922, pozostawiając w ministerjum spraw wojskowych jedynie marynarkę wojenną, podległą kierownictwu marynarki wojennej, w jakie się przekształcił dawny departament spraw morskich. Przez pierwsze cztery lata morskie sprawy handlowe w łonie ministerjum przemysłu i handlu ograniczały do nadzoru nad budową portu w Gdyni. Rozpęd nadal im dopieroKwiatkowski. Przeprowadził on trzy rzeczy zasadnicze: szybką budowę portu, uruchomienie polskich towarzystw żeglugowych i popieranie polskiego rybołówstwa morskiego, które dzięki jego staraniom, zostało przeniesione z ministerjum rolnictwa do ministerjum przemysłu i handlu.

Budowa portu poszła w tak szybkiem tempie, że Gdynia stała się w ciągu lat paru jednym z główniejszych portów nietylko nad Bałtykiem, ale w Europie, ustępując jedynie wielkim portom atlantyckim (Antwerpja, Hamburg i Rotterdam) i śródziemnomorskiej Marsylji. Jej obroty handlowe powiększyły się w ciągu lat dziesięciu, t. j. w okresie 1924—1934 r., przeszło pięćset razy. W parze z tem szedł rozwój Gdańska, wcielonego na na zasadzie Traktatu Wersalskiego do terytorjum celnego Rzeczypospolitej i stanowiącego port polski. Zajął on szybko utracone w drugiej połowie XVIII stulecia stanowisko jednego z głównych portów europejskich i szedł narówni z Gdynią. Ten rozwój Gdyni i Gdańska był istotną zasługą Kwiatkowskiego, który przeprowadził znaczne ulepszenia techniczne w obu portach, obniżył wydatnie taryfy przewozowe na towary, kierowane zagranicę *via* Gdynia i Gdańsk, i wpłynął na usprawnienie sieci kolejowej, łączącej te oba porty z resztą kraju.

Korzyści, jakie przedstawiały Gdynia i Gdańsk dla handlu zamorskiego, ściągały do nich coraz więcej obcych linij żeglugowych, które zakładały stacje towarowe i pasażerskie w obu portach. Kwiatkowski postanowił ten ruch żeglugowy wyzyskać dla polskich celów i, zaczynając od 1927 r., jął tworzyć polskie towarzystwa żeglugowe, uruchomiając w ten sposób stałą i regularną komunikację między Rzeczpospolitą a zagranicznemi portami pod polską banderą. Był to nawrót do zamierzchłych tradycyj ostatnich Jagiellonów, była to dostawa polskiego wyrobu na polskim statku do miejsca przeznaczenia. System „fob“, uprawiany przez cały wiek XVII i XVIII, ustąpił miejsca systemowi „cif“. Tworząc te towarzystwa żeglugowe, opierał się Kwiatkowski bądź całkowicie na kapitale polskim, bądź przyciągał kapitał obcy, lecz zawsze w ten sposób, aby wkład polski miał przewagę. Zostały założone: w 1927 r. „Żegluga Polska", w 1928 r. — „Polsko-Skandynawskie Towarzystwo Transportowe", w 1929 r. „Polsko-Brytyjskie Towarzystwo Okrętowe" i w 1930 r.—„Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe". Statki tych przedsiębiorstw zaczęły obsługiwać linje, łączące Polskę z portami bałtyckiemi, atlantyckiemi, śródziemnomorskiemi i amerykańskiemi. Towarzystwa te, popierane przez rząd i społeczeństwo, rozwijały się intensywnie i rozwój ich trwa w dalszym ciągu.

Trzecią dziedziną morskich zagadnień ekonomicznych, w jakiej Kwiatkowski położył wielkie zasługi, było praktyczne rozwinięcie rybołóstwa morskiego, nad czem teoretycznie pracował Porębski. Po przeniesieniu morskich spraw rybackich do podległego sobie ministerjum, a związaniu ich przez to z ogólną eksploatacją morza, przystąpił Kwiatkowski do utworzenia polskich przedsiębiorstw połowów morskich, opierając je, analogicznie do utworzonych już towarzystw żeglugowych, na kapitale mieszanym, polskim i obcym, z przewagą pierwszego. Szło w danym wypadku nietylko o połowy na Bałtyku, lecz głównie o obfite połowy atlantyckie na t. zw. polach śledziowych między Norwegją, Szkocją i Islandją [3]). Zamierzenia te nie zostały dokonane przez Kwiatkowskiego, który, wyczerpany pracą na umiłowanym odcinku morskim i zrażany częstokroć niezrozumieniem tych spraw w gronie najbliższem oraz formalistyką biurokratyczną, opuścił stanowisko ministra w 1930 r.

Obaj ci ludzie: Porębski i Kwiatkowski poruszyli wydatnie sprawy morskie we wskrzeszonej Rzeczypospolitej, zachęcili do nich ogół i dali im bieg. W chwili obecnej na całym terenie Polski, jak ona długa i szeroka, niema już bodaj człowieka, któryby nie uważał, że dostęp do morza jest podstawą istnienia Polski i że rozwój nasz powinien iść tradycyjną drogą piastowską ku zachodowi i północy. To zrozumienie odbija się wyraziście w naszej gospodarce. Gdy, po wojnie polsko-rosyjskiej 1918—1921 r., obrót nasz z zagranicą drogą morską stanowił w 1924 r. jedynie 7% obrotu całkowitego, to w dziesięć lat później, w 1934 r., obrót morski dał 70% obrotu całkowitego, a wartość pieniężna tego obrotu morskiego przekroczyła połowę wartości ogólnego obrotu z zagranicą. Gdy przed dziesięciu laty Gdynia i Gdańsk obsługiwały w drobnej mierze jedynie zachodnie połacie Rzeczypospolitej, to obecnie te porty mają za zaplecze nietylką całą Polskę, lecz zachodnie kraje Związku Sowieckiego, Czechosłowację, Węgry i państwa Bałkańskie. Gdy wresz-

[2]) Obecnie Państwowa Szkoła Morska w Gdyni.

[3]) Połów ryb na pełnem morzu jest dozwolony każdemu statkowi.

cie polska bandera handlowa przed dziesięciu laty figurowała jedynie prawie w atlasach geograficznych, to dzisiaj jest znana we wszystkich portach europejskich, a do szkoły morskiej w Gdyni zgłaszają się nietylko swoi, lecz i obcy.

Dostęp do morza, wyzyskanie morza pod względem komunikacyjnym i eksploatowanie go pod względem rybackim poczyniły w umysłach polskich kroki bardzo znaczne i w zakresie morskich spraw ekonomicznych przeciętny obywatel Rzeczypospolitej niewiele ustępuje przeciętnemu mieszkańcowi Europy Zachodniej. Czynniki rządowe idą tu w parze z dążeniami społeczeństwa. Na sprawy morskie asygnuje się 70% budżetu ministerjum przemysłu i handlu. Liga Morska i Kolonjalna, założona swego czasu przez Porębskiego i Józefa Hallera, krzewi niezmordowanie myśl morską w społeczeństwie i korzysta w całej pełni z poparcia rządowego. Buduje się dodatkowe linje kolejowe, łączące wybrzeże morskie z zapleczem (linja Górny Śląsk — Gdynia), zaopatruje się obydwa porty w najnowsze urządzenia techniczne i urządza strefy wolnocłowe, a konosamenty bezpośrednie i ulgowe taryfy kolejowe przekształcają Gdynię i Gdańsk na tego rodzaju ośrodki handlowe dla Europy Wschodniej, jak Hamburg i Brema dla Środkowej, a Marsylja dla Południowej. Morskie sprawy ekonomiczne zajmują coraz więcej polityków i publicystów i wzbudzają coraz większe zainteresowanie ogółu. Jednem słowem, przeprowadzając analogję historyczną, szerokie masy społeczeństwa polskiego przypominają pod względem zrozumienia morskich zagadnień gospodarczych ogół szlachecki za Zygmunta Augusta.

Atoli zagadnienie ekonomiczne stanowi jedynie połowę zagadnienia morskiego. Niedość jest zrozumieć wagę dostępu do morza i umieć to wykorzystać dla celów handlowych i przemysłowych, trzeba jeszcze potrafić ten dostęp morski i tę swoją eksploatację morską obronić. Polska za Piastów dążyła do Bałtyku, za Jagiellonów osiągnęła dostęp, za Wazów pozwoliła sobie zrobić go iluzorycznym i dała się w rezultacie zwyciężyć daleko słabszemu przeciwnikowi, bitemu pod Kircholmem, Trzcianą i Warszawą. Przegrana Rzeczypospolitej pochodziła w wojnach szwedzkich z tego, że, nie mając floty, musiała Polska trzymać się stale taktyki obronnej i oddać inicjatywę przeciwnikowi. Szwedzi, bici na lądzie, umieli zawsze, dzięki opanowaniu Bałtyku, działać ekonomicznie i zmuszali w ten sposób do niekorzystnych rozejmów Sztumskich i ciężkiego Traktatu Oliwskiego. Od końca wojen szwedzkich, przegranych, wobec braku floty, datuje się okres upadku Rzeczpospolitej. Iluzoryczny dostęp do morza za Stanisława Augusta staje się przyczyną zupełnej zależności ekonomicznej od Prus (szykany Fryderyka Wielkiego) i Rosji (ekspansja na Rygę i Cherson). Owa zależność ekonomiczna łączy się jaknajściślej z polityczną, a upadek Polski przyśpieszyła rozbieżność między polityką, dążącą w stronę Prus a ekonomją, kierującą się w stronę Rosji. Widać więc z powyższego krótkiego streszczenia, że wyzyskanie morza pod względem ekonomicznym bez możności obronienia tej eksploatacji jest rzeczą dla narodu niemożebną, przedewszystkiem dlatego, że bez morza jest niemożliwa egzystencja samodzielna, a odebranie tego morza narodowi, który z niego korzysta, sprowadza automatycznie utratę niepodległości politycznej. Państwo, nie mogące obronić swych komunikacyj morskich, przypomina człowieka, który w każdej chwili może być schwytany za nieosłonięte gardło. Otóż Polska pod względem obronienia swego dostępu do morza i osłonięcia swych komunikacyj morskich przypomina w zupełności takiego człowieka i w dziedzinie swej morskiej siły zbrojnej stoi na poziomie Rzeczypospolitej z czasów Zygmunta Augusta lub Władysława IV-go.

Cała morska siła zbrojna Rzeczypospolitej składa się na Bałtyku z dwu kanonierek, siedmiu kontr-torpedowców i torpedowców oraz trzech łodzi podwodnych, do tego dochodzi kilka jednostek pomocniczych, jak okręty szkolne, trawlery, okręt hydrograficzny i t. d. Na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, w Pińsku, stoi sześć monitorów, krążących po Prypeci. Załogi okrętowe wraz z lotnictwem morskiem i piechotą morską wynoszą 4.000 ludzi. Na utrzymanie marynarki wojennej rząd asygnuje rocznie 5% budżetu wojskowego, tj. niecałe 50.000.000 zł. Okręty wojenne, odpowiadające obecnym wymaganiom taktycznym, należą do typu lżejszych jednostek (kontr-torpedowce i łodzie podwodne), zdolnych jedynie do celów wywiadowczych i niespodziewanych napadów. Pozostałe okręty wojenne (kanonierki i torpedowce), będąc również jednostkami lżejszego typu, są wogóle przestarzałe, bo budowane jeszcze podczas Wielkiej Wojny Światowej, i znaczenia bojowego nie mają prawie wcale. W takim samym katastrofalnym stanie znajdują się umocnienia nadbrzeżne w postaci fortyfikacyj i znajdującej się na nich artylerji. Jednem słowem, nasza obrona morska nie tylko jest iluzoryczna, lecz nie istnieje w c a l e.

Jak wiadomo powszechnie, zabezpieczenie na morzu daje jedynie i wyłącznie marynarka wojenna, podobnie, jak zabezpieczenie na lądzie daje tylko wojsko lądowe. O niezbędności utrzymania naszego dostępu do Bałtyku oraz o potrzebie wykorzystywania własnemi środkami komunikacji morskiej było już powiedziane powyżej. W dziedzinach tych Polska zrobiła olbrzymie kroki naprzód, nie szczędząc mozołu i kosztów. Na samą budowę portu gdyńskiego wydano dotychczas przeszło 150.000.000 zł. Natomiast cały ten dorobek ekonomiczny i polityczny nie jest wcale broniony i, co gorzej, nie widać ż a d n y c h kroków w tym zakresie. Z niezatwierdzonego programu Porębskiego zostało wybudowanych jedynie parę lżejszych jednostek, o których była mowa powyżej, lecz do chwili obecnej nie jest zatwierdzony żaden program budowy marynarki wojennej, tj. Rzeczpospolita nie przystąpiła do sprawy podstawowej i najważniejszej w dziedzinie obrony morskiej.

Ten kompletny brak naszych poczynań w sprawie budowy marynarki wojennej rzuca się tembardziej w oczy, jeżeli porównać wysiłki, robione pod tym względem przez inne państwa nadbałtyckie. Szczególnie jaskrawo występują tutaj kroki niemieckie. Rzesza, mająca pozostawioną sobie po przegranej Wielkiej Wojnie Światowej szczupłą marynarkę do pełnienia służby policyjnej, przeprowadziła z żelazną konsekwencją program morski i jest obecnie w posiadaniu najnowocześniejszej i najbardziej odpowiadającej wymaganiom taktycznym na Bałtyku floty. Ten sam

pęd widać u Sowietów. Nie ustępują pod tym względem Szwecja i Finlandja, nawet Łotwa i Estonja zagadnienie budowy marynarki wojennej umieściły na porządku dziennym. Jedynie Polska stanowi wyjątek. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć wyraźnie, że obrót drogą morską jest nam niezbędny podczas pokoju, bo daje najtańszą i najdostępniejszą drogę, a staje się niezastąpiony podczas wojny, bo przy obecnym rozwoju techniki wojennej żaden kraj nie jest samowystarczalny i musi polegać na dowozie zagranicznym. Wszystkim jest wiadomo, że podstawą zaopotrzenia wojennego jest żelazo, i to żelazo właśnie, już podczas pokoju, wynosi około 35% przywozu morskiego do Polski, bo zapasy krajowe nie wystarczają na zaspokojenie potrzeb miejscowych. Analogiczne zjawisko mamy z bawełną i kauczukiem. Droga zatem morska stanowi *conditio sine qua non* w ewentualnym zatargu zbrojnym, jaki może Polskę spotkać. Z tego właśnie wynika paląca potrzeba budowania własnej marynarki wojennej, której niezbędność nie weszła jeszcze tak głęboko w krew narodu, jak weszły morskie zagadnienia ekonomiczne. Pod względem zrozumienia potrzeby posiadania swej siły zbrojnej na morzu szeroki ogół społeczeństwa naszego niewiele się różni od mas szlacheckich za Zygmunta Augusta, które doceniały znaczenie „armaty wodnej", lecz oczekiwały stworzenia tej „armaty" od króla.

WITOLD HUBERT

DYSKUSJA O WŁOCHY i ABISYNJĘ

Zatarg włosko-abisyński znaczeniem swem tak dalece przekracza zakres lokalnego sporu między dwoma tylko państwami, dał sposobność do poruszenia zagadnień tak dla przyszłości cywilizacji europejskiej zasadniczych, że przedyskutowanie ich, tudzież możliwie wielostronne ich oświetlenie, jest ze wszech miar pożyteczne i wskazane. W tem przeświadczeniu ogłaszamy artykuł dyskusyjny wybitnego myśliciela p. K. L. Konińskiego, zaznaczając, iż w numerze najbliższym zamieścimy ze swej strony odpowiedź na jego tezy. — Red.

DYSKUSJA, którą p. C. J. wszczął po artykule p. S. Z., jest tak ważna i wprost decydująca dla polityczno-moralnego poglądu na świat, że warto, aby się toczyła dalej. Pozwalam sobie przystąpić do niej jako drugi z rzędu.

Otóż myślę, że zbędne byłoby badać, jakiemi pobudkami kieruje się opinja angielska, która, jak się zdaje, w całości niemal popiera ministra Hoare'a, kiedy ten oświadcza, że Anglja obstaje przy Lidze Narodów, że gotowa jest rzucić na wagę toczących się spraw siły swoje, aby zachować L. N. z jej zasadą fundamentalną rozstrzygania konfliktów międzynarodowych nie orężem, tylko ugodowo. Bardzo możliwe, że działa tu instynkt narodowy i imperjalistyczny Brytyjczyków, którzy obawiają się nowego imperjum — po drodze do Indyj. Ale nie motywy tego zachowania się są najważniejsze dla świata — więc i dla nas — tylko skutki. Otóż, o ile dziś wolno wnioskować, W. Brytanja zobowiązuje się w każdym wogóle wypadku jako uczestnik L. N. wystąpić przeciw „niesprowokowanemu napastnikowi".

Jeżeli jest to zapewnienie na serjo, — a świat powinien je przyjąć tak, ażeby utrudnić wycofanie się z tej pozycji! — jeżeli w ten sam sposób zdecydują się postępować, i w każdym wypadku, inni uczestnicy L. N., to będzie to oznaczać wejście części państw w epokę zorganizowanego prawa międzynarodowego. Bo prawo o tyle tylko jest prawem, o ile za przekroczenie jego jest kara; i naturalnie, o ile są legalni i posłuszni wykonawcy wyroku, t. zn. o ile jest policja. Więc i prawo międzynarodowe zasłuży na miano prawa w całej pełni, o ile będzie istnieć policja międzynarodowa — przyczem jest już kwestją drugorzędną, czy ta policja będzie siłą osobno zorganizowaną, czy też będzie składać się z sił poszczególnych państw, *ad casum* dostarczanych. Sądzę, że ta perspektywa dziejowa góruje dziś nad konfliktem Włochy—Abisynja.

Powie ktoś, że to irytujące, gdy Anglicy dziś tak się na Włochów oburzają, a nie oburzali się kilka miesięcy temu, kiedy Niemcy złamali jawnie Traktat Wersalski. Powie ktoś, że Japonji pozwolono na to, wobec Mandżurji, na co się Włochom zezwolić nie chce wobec Abisynji. A wreszcie, że dobrze Anglji i Francji Włochami się gorszyć, kiedy pierwsza ma pół świata, a druga Marok i potężne imperjum afrykańskie. Myśląc o tem, można nawet odczuć, jakgdyby się Włochom działa *sui generis* „krzywda"... Ale... Ale w dziejach znaczy moment, znaczą konkretne okoliczności, znaczy i... sposób. Imperjum angielskie rozrosło się w czasach, kiedy jeszcze idea organizacji państw i bezpieczeństwa narodów była utopją — było tak nawet trzydzieści parę lat temu, kiedy Anglicy podbijali Boerów. Ten moment minął. Jest faktem, faktem historycznym, takim samym jak inne, że epoka Wielkiej Wojny kreowała ideję organizacji państw i bezpieczeństwa narodów — i dziś idea ta działa, jako narzędzie obrony w ręku abisyńskiem; Francja już po wojnie utrwaliła swe wpływy w Maroku — ale też sułtan marokański tego narzędzia obrony nie chwycił się z takich czy innych powodów — dość, że idea, dla której L. N. została utworzona, nie była przez Marok wywołana przed *forum* sumienia, czy tam polityki międzynarodowej. Japonja i Mandżurja? Okazało się, że Liga Narodów, która się na cały świat rozciąga, jest machiną bezwładną; natomiast machina ta może być zdolna do działania w kręgu mniejszym.

Na to, że sprawa Abisynji stała się popularna w szerokiej opinji narodów europejskich — i to bynajmniej nietylko na Nalewkach, jak twierdzi p. C. J. — wpływa bezwątpienia fakt, że — choć cały ten „chrystjanizm" abisyński, to jakieś chrześcijaństwo z nieprawdziwego zdarzenia! — to jednak bądź co bądź Abisynja jest to państwo chrześcijańskie — i dla ludów muzułmańskich i wogóle niechrześcijańskich byłoby to widowiskiem prawdziwie ucieszném, patrzeć jak naród chrześcijański, i to katolicki, z pod samego boku Papieża, napada na gładkiej drodze jedynych w Afryce dotąd niepodległych wyznawców Krzyża. Mogłoby to fatalnie odbić się na autorytecie chrześcijań-

stwa, a w szczególności katolicyzmu pośród ludów kolorowych. Przynajmniej tak dowodził jeden z artykułów w wiedeńskiej *„Reichspresse"*, być może inspirowany z Watykanu. Wreszcie, pamiętać należy, że jest za nami Wielka Wojna, która zostawiła po sobie wśród ludów kolorowych i lepszą znajomość broni palnej i wiele fermentacji narodowościowej i rasowej.

Biali słusznie chyba mogą lękać się wzmożenia nienawiści do siebie mas kolorowych, pośród których przyszło im przebywać, naskutek pobudzonego wojną uczucia solidarności z kolorową Abisynją, napadniętą przez białe Włochy. Gdyby penetracja Włoch do Abisynji odbyła się pocichu, stopniowo i niewyzywająco, drogą raczej uzbrojonej dyplomacji, niż zamierzanego jawnie najazdu, bardziej *suaviter in modo* — tak właśnie jak się odbywała penetracja francuska w Maroku, toby i tych niebezpieczeństw nie było. Włochom żadna w porównaniu z Anglją i Francją nie dzieje się „krzywda", bo tamte działały w innych okolicznościach dziejowych wobec tworów państwowo-narodowych luźniejszych, które tak zdecydowanego oporu jak Abisynja nie stawiały. Abisynja już walczyła o niepodległość i chce walczyć. A to jest fakt, który bardzo wiele zmienia, nietylko w sytuacji politycznej, ale nawet w uprawnieniach moralnych ewentualnego najezdnika. Bo jeżeli historyczna moralność może zakwestjonować prawo do wiecznego bytu tworów historycznych zmurszałych i pozbawionych woli trwania, to inaczej musi oceniać się prawo do bytu państw i narodów, które mają zdecydowany zamiar bronienia się i przetrwania trudności.

Tu dotykamy się już kwestji najgłębszej: czy historji pozostawić swobodę żywiołową, czy narody i państwa pozostawić w świecie bezwzględnej walki o byt — czy też naodwrót starać się historją kierować, w świat narodów i państw wprowadzać jakieś prawo i jakąś organizację? Jest to naturalnie kwestja gustu i ostatecznego wyboru. Chciałbym tylko wskazać, że wybór ten nie jest całkowicie wolny dla tych, którzy już się poprzednio w pewien sposób określili. Mianowicie dla tych, którzy odrzucają t. zw. materjalizm, razem ze wszystkiem co doń należy: kultem siły, naturalizmem, amoralizmem, aż do nihilizmu włącznie. Owszem, wolno każdemu rozstrzygnąć na stronę bezwzględnej międzynarodowej walki o byt — (i podpisany jeszcze przed kilku laty sam tak rozstrzygał); ale w takim razie trzeba zrezygnować z tego, iżby nadal jeszcze być przeciwnikiem i wrogiem materjalistycznego i amoralnego poglądu na świat. Być moralistą, spirytualistą i konserwatystą kultury i w dodatku chrześcijaninem, czy nawet katolikiem — a zarazem — jak się to często zdarza!... — twierdzić, że prawu do dziejów wstęp wzbroniony — owszem, to może być nawet wygodnie — ale to są logiczne niechlujstwa. Coprawda, nie mógłby żyć, ktoby chciał być bezwzględnie logiczny — więc nie idzie o czystą i dokładną, stuprocentową logikę czynów — tu, niestety, zawsze coś „nieczystego" musi się wkraść— ale idzie o pewną logikę usposobienia. Myślę, że nie można naraz być usposobionym kontrmaterjalistycznie, powiedzmy tak: szlachetnie — i nie reagować naturalnym odruchem współczucia na widok słabszego, który na gładkiej drodze napastowany jest przez silniejszego. Obserwuję istotę doskonale apolityczną, dziecko niezepsute, które samo z siebie, *sponte sua*, przez nikogo nie pobudzane, odzywa się ze współczuciem dla Abisynji. Dlaczego? Dlatego, że Włosi „napadają na nich, a oni bronią swojego kraju".

Jest jakaś najprostsza, monumentalnie naiwna sprawiedliwość, którą szkoda zachwiewać, której nie wolno bagatelizować.

Ale wiadomo, że rzeczywistość jest strasznie zawikłana, ciemna, niezmiernie mniej przejrzysta, niż świat ideału. Tak też i z „napaścią" i „obroną": to, co się wydaje „napaścią", bywa niekiedy tylko konieczną obroną i naodwrót. Sądy moralne naiwnej uczciwości są dobre; tylko potrzeba do nich należytej informacji. Otóż niewątpliwie i ekspansja narodów o wyższej cywilizacji i gęstszem zaludnieniu nie jest błahem słowem. Weźmy tylko, że na jednem miejscu ludzie cisną się i duszno im i głodno — gdy na innem miejscu leżą w pustce i odłogiem wielkie przestrzenie i zasoby naturalne, w posiadaniu czyjemś, kto nie umie i nie potrzebuje tego użytkować. Myślę, że ta sama moralność, która potępia napastnika a ceni broniącego się, ta sama sprawiedliwość pozwala, i zaleca nawet, ażeby właściciel niewyzyskanych pustek podzielił się niemi z tymi, co, sami w niedostatku, zdołaliby martwe pustki owe przerobić na życie. Jest „naturalne" prawo do ekspansji na pustkach, jak jest prawo życia wobec martwej materji. Ale teraz właśnie pytanie fundamentalne: Czy uznamy „prawo życia" (Życie!) za wartość tak absolutną, że wobec niego nie ma już miejsca dla żadnej innej—(np. dla wartości Zgody— zamiast niezgody), czy uznamy więc, że sprawy życia mają się regulować same, dziką walką, jak w życiu przyrody, które jest Życiem κατ-εξοχεν, czy też inaczej: czy powiedzieć sobie, że życie powinno być opanowane przez rozum i wolę, okiełzane w jakimś stopniu, uregulowane?

Pytanie to jest rozstrzygnięte zgóry dla każdego, kto nie jest bałwochwalcą „Życia" i „Natury", kto przekonany jest, że człowieczeństwo to walka świadomego o triumf nad nieświadomem. Jeśli więc rozlew życia ma być jakoś uczłowieczony, czyli, w danej kwestji, jeśli ciśnienia ludnościowe i ekspansyjne mają się rozkładać nie dziko, nie zapomocą nagich stosunków siły fizycznej i aktualnej, ale w jakiś bardziej rozumny i sprawiedliwy sposób — to nie można tego wyobrazić sobie bez prawa międzynarodowego, faktycznie i realnie działającego. Jeśli jest „prawo do obrony" i jeśli przeciw niesprawiedliwemu napastnikowi powinno wystąpić prawo — to logiczną konsekwencją prawa będzie uznanie prawa narodów do ekspansji — ale prawdziwego prawa, to jest prawa działającego pod pewnemi ustalonemi warunkami, nie dzikiego, czysto faktycznego, tak zwanego (cynicznie) „prawa siły". I nie ulega wątpliwości, że ingerencja L. N. w konflikcie włosko-abisyńskim, jeżeli skończy się pokojowo, to będzie musiała pociągnąć za sobą kwestję uprawnień kolonjalno-ekspansyjnych nietylko Włoch, ale i innych państw za niemi. Tylko że tym razem taka ekspansja kolonjalna będzie dbałą o to, ażeby ludów tubylczych nie niszczyć, nie wywłaszczać i nie tępić. Myślę, że wcale nie potrzeba być geszefciarzem z Nalewek, ażeby taką wizję przyszłego świata uznać za bardziej pociągającą od wizji narodów—wilkami naro-

dom; ba, sądzę, że właśnie ta druga wizja jest milsza wszelakim geszefciarzom, z Nalewek i nie z Nalewek, którzy za wojną ciągną jak hyjeny i szakale.

Tu odrazu ostrzeżenie, że srogo zbłądziłby ten, ktoby ideje tego typu traktował jako nędznie „pacyfistyczne"; jeżeli „pacyfizm" oznacza to przekonanie, że zasadniczo „pokój lepszy niż wojna" — to i sam marszałek Foch był pacyfistą; ale jeżeli pacyfizm oznacza, że każdy pokój lepszy niż wojna — (a ci ostentacyjni dzisiejsi pacyfiści tak właśnie myślą lub zdają się myśleć) — to taki pacyfizm byłby „ideologją" nikczemnych niewolników.

Jeżeli idea prawa międzynarodowego ma się skutecznie rozwinąć, to ten pacyfizm za wszelką cenę musi zostać stłumiony w duszach narodów. Jakim sposobem chciałby się za ideję, bądź co bądź dość abstrakcyjną jeszcze, sprawiedliwości międzynarodowej, bić i narażać taki, co nawet za własną ojczyznę, za własną godność narodową i osobistą nie chce walczyć? Tacy nikczemnicy w narodach Zachodu mnożą się, we Francji, Anglji, Holandji i t. d. Idea prawnie organizującej się społeczności narodów jest ideą heroiczną — heroiczną dlatego, że nie powstało żadne jeszcze prawdziwe, trwałe dziejowo, społeczeństwo, któreby nie było musiało i nie chciało walczyć. Ponad wojną jest pokój — ale ponad pokojem są: wolność, godność, sprawiedliwość. I nie jest możliwe, aby jakakolwiek społeczność nowa, a dziejowo trwała, powstała z takich i przez takich, którzy ponad godność, wolność i sprawiedliwość cenią sobie pokój i spokój.

Ale to są tylko jeszcze perspektywy dalekie — jeszcze niema systematu prawa, któreby określało jednoznacznie prawa ekspansji narodowej, jeszcze niema trybunałów tak bezstronnych, jak tylko to jest możliwe u ludzi, jeszcze niema sił zbrojnych ożywionych czystem pragnieniem Sprawiedliwości — a na Lidze Narodów jeszcze zbyt wiele ciąży nieufności narodów. Dlatego, jeśli dziś jakiś naród jeszcze nie chce się poddać bezwarunkowo tej ledwo co poczynającej się organizacji narodów, względnie państw, to naród ten jeszcze—*rebus sic stantibus*—nie działa *ipso facto* niemoralnie. Moralność musi być już dostatecznie określona, a instytucje, które jej strzegą, dość już ustalone, ażeby można było takie kategoryczne o „grzechu" i „przestępstwie" sądy wy awać.

Dziś jeszcze sprawy między Ligą Narodów a tymi, co jej uznać nie chcą, są nieomal że tylko nagiemi kwestjami siły, a jeszcze nie przekroczonego obowiązku. Ocena słuszności postępowania działających przeciw Lidze jeszcze w każdym wypadku z osobna musi być traktowana. Ale ostatecznie nad tem wszystkiem rysuje się monumentalne pytanie: Czy tworzyć i stanowić prawo w życiu narodów, czy pozostawać w bezprawiu? Kto wie, może chwila obecna jest jedną z tych, w których każdy krok decyduje o całej przyszłości? Nie znaczy to wcale, ażeby pod pozorami prawa dawać się nabierać na bezprawia. To też słuszna jest czujność wobec poczynań tej organizacji, w której się ścierają rozmaite całkiem konkretne interesy polityczne. Ale sama odpowiedź na owo pytanie kapitalne nie może być wątpliwa dla nikogo, kto się już w pewien sposób był określił.

Internacjonalizm wstrętny jest, kiedy jest wyrazem tchórzostwa i wygodnictwa, któremu się nie chce za własną ojczyzną obstawać, kiedy chce niwelować to wszystko, co wyrosło organicznie z pnia historyj narodowych, kiedy jest maską egoistycznych interesów jakichś grup, którym zależy na osłabianiu narodów; ale kiedy jest wyrazem moralności, która właśnie ochraniać chce narody, a nie tępić je — to nie widzę, coby w nim mogło być ze względu na narodowy pogląd na świat niemoralnego? Może być czasem niewygodny — ale to już inna kwestja.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ VII

LITERATURA i ŻYCIE

Czy Norwid czytał „Pogankę"? — Strzał na Podgórzu i powieść warszawska. — Splot życia i literatury. — Zjawiska w przestrzeni i w czasie.—Goszczyński — Dembowski — Norwid. — Co mówi Wiesław o wieszczeniu, prorokach i czarownikach. — Dwie modlitwy.

I

DOBYWAJĄC z archiwów starą powieść, kierujemy się ciekawością historyczną. Sam styl utworu już jest dokumentem epoki, a cóż dopiero, gdy, prześwietliwszy bibułę, odnajdziemy ślady ludzi i stosunków ówczesnych. Wtedy dokument urasta do znaczenia kroniki. W „Pogance" odnalazły się cenne informacje, bogato ilustrowane, nawet portretów szereg: pokolenie obecne znalazło się, jak przy odkopanej mogile przedhistorycznej, z której wyjawia się życie dawne.

Między innemi świadectwami znaleźliśmy tu jedno, którego daremnie szukaliśmy gdzieindziej, jak wyglądał, widziany z Warszawy, odlatujący w obce kraje Norwid. Biografowie zabiegali mu drogę na emigracji, jakby tam zaczął się na nowo, w Warszawie zaś zrobiło się głucho o Norwidzie. Wydrukował w pierwszych latach wędrówki kilka utworów w „Bibljotece Warszawskiej". Zawsze ku Warszawie ciążył tęsknotą, ale po pewnym czasie już nic tu nie przysyła. Zerwały się stosunki tak, że zdawałoby się, iż między krajem a emigracją nie było żadnego obcowania. A jednak ono istniało. Jeden z takich pomostów między Warszawą a emigracją rzucono w powieści, którąśmy przeczytali.

Zdajmy sobie z tego sprawę, że ten wyrok, wysłany jakby listem gończym, oparty był przedewszystkiem na motywach politycznych. Zaczęło się przy kominku od rozmowy o miłości, a skończyło się ciężkiem potępieniem, inkwizycyjnem szarpnięciem najgłębszego sumienia patrjotycznego. Mojem zdaniem, strzał żołnierza austrjackiego w piersi Edwarda Dembowskiego w lutym 1846 r. rozbił powieść Żmichowskiej, że druga jej część

potoczyła się torem jej reakcyj politycznych. Zanim wydrukowała gotową już powieść, znalazła się w innej atmosferze, niż ta, w której zaczynało się opowiadanie przy ogniu kominkowym. To, co się jej wydawało bajką ze stanowiska towarzyskiego jako pościg za ideałem, jako złe zastosowanie serca, potem ukazało się jej jako zdrożność narodowa.

Dembowski dla niej był wyobrazicielem walki o wolność człowieka i narodu. Kochała jego idee demokratyczne i rewolucyjne, należała z nim razem do organizacji tajnej, znajdującej się pod dyrektywą Tow. Demokratycznego w Paryżu. Znamy hymn na jego cześć we „Wstępnym obrazku"; co zaś tam pisała o jego charakterze, mianowicie o umiłowaniu kłamstwa, było niezgrabną tylko charakterystyką jego talentu konspiratorskiego. Wiemy skądinąd, że Dembowski źle mówił o Norwidzie z powodu jego apolityczności i tendencyj konserwatywnych. Szersze uzasadnienie różnic, jakie w tym względzie istniały między Norwidem a innemi grupami znajdzie czytelnik w gruntownem studjum Wł. Arcimowicza, które teraz ukazało się w książce [1]). Można było o tem rozmawiać z Emilką żartobliwie w r. 1840, ale teraz wzburzyło się serce autorki — i wydała wyrok zaoczny i zbyt partyjny.

Zachodzi pytanie, czy ten wyrok dosięgnął Norwida, a jeśli tak, to jak on go przyjął. Niełatwo na to odpowiedzieć. Wiemy, jaki był Norwid. Jeśli gdzie w listach znajdziemy ślady jego wrażliwości na cudze dotknięcie, to będą reakcje jego ambicji pisarskiej i artystycznej; pozatem skargi na ucisk materjalny i duchowy treści bardzo ogólnej. W konkretnych wypadkach doznanych ciosów i przykrości, jakby jego nie tyczyły, nie umiał czy nie chciał — nawet w listach prywatnych — po imieniu nazwać. Weźmy np. dzieje jego miłości, albo utratę paszportu, więzienia i przymusowej emigracji: był to przecież węzeł zdarzeń katastrofalnych, decydujących o jego życiu, a gdzież zanotował swoje reakcje? Jeśli zanotował, to jakby na to, żeby w błąd historyka wprowadzić.

W tym wypadku położenie było trudne niezwykle. Wogóle, jak tu reagować na opinję? Chyba wypowiedzieć się w monologu Wiesława, co to jest opinja... Ale przedewszystkiem, czy można przyznać się, że się bierze do siebie to, co niema adresu, a nawet co umyślnie jest tak kierowane, aby nikt nie odgadł kierunku?

Norwid mógł przeczytać „Pogankę" już w Brukseli, może ją czytał dopiero w Rzymie; Zaleski był dobrze zaopatrzony w literaturę krajową; nie on — to Krasiński; nie Krasiński — to Orpiszewski. Nikt z nich oczywiście nie mógł się domyśleć tajemnic Żmichowskiej, wogóle jeden tylko Norwid (poza autorką i kogo ona wtajemniczyła osobiście) mógł w powieści siebie odcyfrować, przynajmniej zdziwić się nadzwyczajnej analogji do jego losów. Chociaż nie było „Wstępnego obrazka" z jego portretem, zrozumiał pewno, że to cios w niego i w jego ukochaną. Ale to była jego znów tajemnica, na którą mógł się użalić tylko przed sobą samym. Później, kiedy przeczytał „Pogankę" w książce (w r. 1861), już widział dokumentalnie, że o nim *fabula narratur*, ale wtedy rana już była zasklepiona, mógł już objektywnie na całość zdarzeń patrzeć, nawet komedję napisać „Za kulisami" i tam początki swej znajomości z p. Kalergis pokazać, o udziale Wężyka coś powiedzieć, potępić kobietę kochaną, która w końcu nad Wężyka i nad niego przeniosła — moskala. Tak, wtedy był już ze Żmichowską jednomyślny; ale wówczas w latach 1847 — 1849, kiedy pierwodruk „Poganki" go doszedł, niewątpliwie ugiął się pod nim, jak pod ciężkim kamieniem, w jego stronę rzuconym.

[1]) Wł. Arcimowicz „C. K. Norwid na tle swego konfliktu z krytyką". Wilno 1935.

II

Był to dla Norwida czas najsroższych represyj losu: zawiodła nadzieja na wzajemność w miłości, a na tę kartę stawiał wszystko; marli przyjaciele: Wężyk, Łubieński, których pomocy materjalnej zawdzięczał rolę odgrywaną dotąd; w listach z tego czasu słyszymy jęk, że jest zdruzgotany, że żyje ponad siły swoje. Wśród tych dopustów nie małe pewno znaczenie miał głos z Warszawy, niosący mu potępienie. A przecież ta Warszawa w jego duszy była bodaj ostatnią rezerwą jego sił żywotnych. Stawał krzyż nad najlepszemi przeżyciami młodości, największem bogactwem ducha twórczego i statycznem i dynamicznem.

Pozycja estetyka na emigracji była martwa; zrozumiał, że trzeba z żywymi pójść, więc drogami myśli politycznej. Było czynem ekspjacji nad tym grobem warszawskim, że zarzuciwszy sztukę, dosiadł fali politycznej. O czyny wołano — wpisał się pierwszym odruchem do legjonu Mickiewicza. Po paru latach jednak odczuł znużenie; z „Promethidiona" widzimy, z jaką radością wracał (1851) do zagadnień sztuki.

Zasadniczą ideą „Poganki" było przecież nie co innego, jeno zagadnienie trój-ideału, to samo, co u Tyszyńskiego w „Morenie". Emigracja tę dyskusję przerwała. Wraca do niej teraz. Promethidion-Tyrtej podejmuje kwestję merytoryczną i przez usta Bogumiła wyjaśnia, jak powinien być pojmowany stosunek piękna (sztuki) do miłości, dobra, prawdy. Na tym terenie podejmuje walkę. Nie wchodzę tutaj w rzecz samą — będzie to zadaniem norwidologów zbadać stosunek „Promethidiona" do „Poganki". Tu wskażę, że utwór Norwida swoją wysoką temperaturę poetycką bierze z tego zetknięcia z powieścią warszawską, opowiadaną u Skimborowiczów przy kominkowym ogniu. Temperament, podniecony wspomnieniem, podnosi ten dydaktyczny wykład do rangi wielkiej poezji.

Że Norwid czytał „Pogankę", na to widzę dowód w jego „Polce" (1849). Jest w „Pogance" miejsce, gdzie Benjamin opowiada o pierwszem wrażeniu, jakie na nim zrobiła Aspazja. Użył tam takich poetyckich zwrotów:

— „A czy blondyna? Wierzcie mi państwo... nic a nic nie wiem o właściwym ich kolorze. W pierwszej chwili nazwałem blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje mogły wkoło jej głowy roztoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkiemi odcieniami bursztynu, niby wszystkiemi połyskami topazu aureolę"... O oczach zaś Benjamin, jak wyżej przytaczałem, mówił, że były zielone, jak szmaragd. Śpiewak w „Polce" Norwida opiewa w ten sposób Polkę;

„Jako jutrznia na niebie
Odbłysk na jej warkoczach.
Ale włos jakiej ma barwy? Zapomniałem...
Ale oko? Nie wiem doprawdy, czy modre.
Jeśli to gdzie pisałem,
To odszukam i podrę".

Widocznie, pomimo doznanej przykrości, Norwid potrafił zainteresować się literacką stroną „Poganki". Może nawet pochlebiało to jego dumie, że przedmiotem jego uczuć zajmują się inni, stwierdzając objektywnie jej piękność. Tutaj Gauthier, tam Żmichowska. Przypuszczam, że pomysł dwuśpiewu w „Polce" znalazł swe źródło w turnieju owych paziów-gnomów na zamku Aspazji.

Można przypuszczać, że zawieszenie stosunków z Marją Trembicką ma swoją przyczynę w tem, iż Norwid podejrzewał ją o niedyskretne opowiadanie w kraju dziejów jego miłości, o jego eskapadzie na Wezuwjusz i t. d. W późniejszym, ściszonym już uczuciowo utworze dramatycznym „Za kulisami" obok bohaterki w osobie p. Kalergis (Lia) figuruje i p. Trembicka (Emma). Ją też widzimy w „Miłości czystej" jako Martę obok Julji, ale zawsze w świetle dwuznacznem.

Na uwagę zasługuje w utworze „Za kulisami" pomysł rozszczepienia osoby autora między dwie postaci. Omegitt odgrywa tutaj rolę w stosunku do poety (Quidam), jak w „Pogance" Benjamin. I tu i tam ta postać — rzecz osobliwa — ucharakteryzowana jest tak, że każdy wskazać może palcem na Wł. Wężyka.

Jak to było w rzeczywistości przed wyjazdem Wężyka i Norwida z kraju? Może Wężyk sam należał do grona adoratorów p. Kalergis? Jakie były właściwe powody, że Warszawę opuścił? Te drobne kwestje wyjaśniłyby trochę przyczynę, dlaczego tak się nim posługiwano w kompozycjach literackich.

III

Utwory, ożywione żarliwością prawdy, nietylko liryczne, mają to do siebie, że pociągają uwagę czytelnika ku osobie twórcy. Ona nas zaczyna więcej interesować, niż artyzm, niż fabuła; wyczuwa się przez bibułę, że występuje ktoś, który pisząc robi nietylko lekturę, ale swoją osobę rzuca na wagę wartości. Niewątpliwie można wielu cennych spostrzeżeń estetyczno-filologicznych na „Pogance" dokonać ze względu na związki, jakie łączyły autorkę z ówczesną literaturą francuską, niemiecką i polską lub z filozofją, można niejednego się dopatrzyć ze stanowiska kultury literackiej, techniki powieściopisarskiej, słownictwa. Ale gdy dostaniemy się do wnętrza osobistości piszącej, to tam odsłania się przed nami ludzka maszynerja utworu, oparta na rozmaitych i wielokierunkowych kontaktach z życiem.

Drobnym nieraz szczegółem, często tylko formalnym, bywa rodowód książkowy wpływów; to, co jest dynamiką dzieła i jego krwią, pochodzi z przeżyć autora i z jego niedosytu życia, z napięcia i rzutu jego duszy. Jest tam nietylko książka przeczytana; tam — cały magazyn żywej tradycji, tam rodzina, tam miłości i przyjaźnie, tam emisarjusze, przysięgi związkowe, tam ustrój wrażliwy na działanie atmosfery filozoficznej, moralnej i politycznej, tam — nie gdzieindziej — źródło popędów i decyzyj prometeicznych zbawiania ludzi (ojczyzny).

Motywy literackie w sercu Żmichowskiej tak ściśle są połączone z życiowemi, że utwór staje się pamfletem i przez to ciekawym dokumentem historycznym. Czyż to nie interesujący obraz to starcie między dwiema z dwu krańców towarzyskich kobietami, to rzucanie się guwernantki i demokratki na królowę salonów europejskich. Jest to symboliczny obraz zapowiadających się stosunków społecznych z jednej strony, a z drugiej — patrjotyzmu zwalczającego kosmopolityzm. Obie reprezentują epokę romantyczną. Romantyzmu doniosłość na tem polega, że nie był zjawiskiem tylko książkowem. Hrabina Nesselrode-Kalergis stylizowała romantyzm salonowy, guwernantka Żmichowska dawała ideę żywiołowi narodowemu. Literatura była dla niej wytwórnią ideałów, które jednak wciela się w życie walką pod ich sztandarem.

Była pod wpływem Edwarda Dembowskiego, kasztelanica, prekursora późniejszego nacjonalizmu (lud — to naród). Pośrednio — przez Żmichowską — on odgrywa rolę w „Pogance", a przez niego to wszystko, czemu on służył, a więc przedewszystkiem Tow. Demokratyczne, którego był emisarjuszem w Warszawie, w Galicji i w Poznaniu. Wiedzie on swój ród od Seweryna Goszczyńskiego, który do r. 1838 organizował lud do nowego powstania. W duszy Dembowskiego grała pobudka tego Belwederczyka, napisana w r. 1835 pod wrażeniem muzyki wojskowej na rynku krakowskim:

„Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza surowe cnotą, —
Biednem odzieniem hołoto —
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście!

Do mnie tu, ludu serdeczny —
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy o tak, bok przy boku,
Idźmy — o tak — krok do kroku..."

Tak właśnie poszedł Dembowski na czele tłumu na Podgórzu pod Krakowem w r. 1846 i padł od kuli. Nie znał się pewno z Goszczyńskim, ale szedł powolny jego poezji, jego tradycji krakowskiej. Nie wiedział pewno nawet o tem, że Goszczyński w r. 1838 w obszernym memorjale przestrzegał Tow. Demokratyczne, aby się posługiwało emisarjuszami roztropnymi [2]) i że już był wtedy pomiarkował się w dążeniach socjalnych. W r. 1843 Dembowski spotkał się z Goszczyńskim na łamach poznańskiego „Roku": on pisał tam o dramacie, belwederczyk — rozprawę „Stanowisko poetów w społeczności".

Literatura i życie, osobowość i społeczność, sztuka i działanie — jak się to wszystko splatało na wyżynach entuzjazmu i jednym płynęło potokiem! Napięcia ducha udzielały się od pokoleń i od człowieka do człowieka. Goszczyński rodzi Dembowskiego, ten zaś bratem jest mlecznym Żmichowskiej — ta sama pierś epoki ich odkarmiła. Utwór literacki Żmichowskiej odbrzmiewa echem strzału, który ugodził w pierś Dembow-

[2]) Ob. Z. Wasilewski „Z życia poety romantycznego". Lwów, str. 110.

skiego; skutki tego wstrząsu dają się odczuć boleśnie Norwidowi. I tak kołem. Gdzie tu szukać czystej literatury, wolnej od tętna krwi?

Te kompleksy życia i sztuki, utrwalone postaciowo w dziełach przez wyjątkową wrażliwością obdarzone jednostki, przekazują się na odległość przestrzeni i czasu. Gdziekolwiek kto żył w Polsce współcześnie, podejmował pracę podciągania się ku ideałom, ktokolwiek z czasem w ten prąd tęsknot wpadnie, krewnym będzie tych, którzy wówczas tworzyli. Wskazywałem parokrotnie Bolesława Prusa pozytywistę, jak wyrywa się jego dusza ponad chmury. Dla pokrzepienia serca budził w sobie świadomość i innym radził pamiętać, że nad chmurą słońce jednak istnieje. A nawet szczegółowo biorąc, czyż jego Izabela w „Lalce" i Wokulski — to nie odmiana Aspazji i Alcybjadesa?

Jeden z najwybitniejszych twórców myśli politycznej czasów ostatnich, Jan Ludwik Popławski, nosił na sobie wybitne piętno idealizmu z czasów Żmichowskiej. Pamiętam 40 lat temu, kiedyśmy „Głos" wznawiali (1895), napisał do pierwszego numeru bezimiennie artykuł wstępny „Zwrot do idealizmu". Cenzura zniekształciła artykuł, usuwając z niego wszelkie aluzje patrjotyczne i nawiązania historyczne. Było tam echo czasów z przed lat 50. Edukacją Popławskiego (w Lubelskiem) zajmowała się ciotka Ponikowska, która należała do entuzjastek Żmichowskiej[3]).

Nie dojrzałaby najbardziej realna myśl polityczna, mająca na celu odrodzenie narodu, gdyby duszy nie zagrzewały entuzjazm dla sprawy i formułowana wonczas wiara w lud. Punktem wyjścia zasad polityki narodowej Popławskiego była formuła E. Dembowskiego o tożsamości ludu i narodu.

Nic w życiu nie ginie, co podjęte było dla ideału.

IV

Sztuka i życie — taki zwykliśmy czynić podział. Ale gdzie przy tym podziale znajduje się człowiek, który tworzy? Tu spoczywa sedno rzeczy. On jest i tu i tam. I dlatego, żeby rozumieć i sztukę i życie, trzeba odwoływać się do tego człowieka. Romantyzm, jak widzieliśmy, porywał go całego, bo w naturze ideału tego czasu leżała konieczność osiągania celu całem człowieczeństwem z jego darem działania włącznie. Dlatego w ówczesnej poezji wiele mamy pierwiastka aktywności i krwi gorącej, w życiu zaś — wiele poezji, za wiele.

Poza tem prawem całkowitości człowieka stanąć musieli twórcy, nie mający w naturze wyobraźni i pochopności działania. Tego typu ustroje, jak Słowacki, Norwid, mogłyby uchodzić za reprezentanta czystej sztuki, gdyby nie ciśnienie ducha czasu, które wpędzało umysły w mistycyzm. Ten zaś przenosi aktywność na świat i od niego sobie jej pożycza, z pewną wyższością patrzy na ludzi — jak mówił Słowacki — „krwistych", na woluntarystów, zagłuszonych tętnieniem własnej krwi, mierzących siłę własną na zamiary.

Mistycy tego typu, co Norwid, o sprawach społecznych zdolni są myśleć racjonalnie i krytycznie i nieraz jaśniej, bo objektywniej, widzą rzeczy. Niewątpliwie w sprawach politycznych Norwid miewał sąd trzeźwiejszy, niż jego otoczenie, które go oceniało; jego zdanie, że walki narodowej celem ma być zwycięstwo, nie męczeństwo, stoi na poziomie polityki wysokiej miary kulturalnej. Ale racjonalizm nie wyrównywa ludzi, gdy chodzi o pełnię człowieczeństwa.

Życie łączy się z literaturą nie przez to jedynie, że je literatura opisuje, lecz przez osobistość piszącego. Osobistość zaś ludzie oceniają według miary jej pełności (całkowitości) ludzkiej. Sama myśl (racja) nie wyrównywa ludzi; nie wystarcza mieć rację — trzeba ją na sobie pokazać. Można więc mieć rację, wysuwając zwycięstwo jako cel wyższy od męczeństwa, ale trzeba się w tę ideę zaangażować i pokazać, jak się ją wciela.

Bardzo charakterystyczne są wyznania Norwida w liście do pani Kalergis z czasu, który nas właśnie tutaj interesuje, bo z 14 marca 1846 r. Pisze do niej z Berlina w chwili dla siebie bardzo krytycznej (daremnie starał się o paszport, będzie uwięziony). Pani Kalergis jest w podróży (nowej, już bez Trembickiej); przemknęła przez Berlin w drodze do Paryża, skąd się uda do Londynu. Norwid pod osłonkami wspomina o wypadkach w kraju (ma na myśli pewno i śmierć Dembowskiego) i tak o sobie pisze:

„Chciałbym sobie tłumaczyć, że oto stałem się ofiarą niewolniczego wychowania, a przeto niezbyt jasno widzę charakter całej obecności, że sposobem niemieckim na niepolskie wyszedłszy stanowisko (obojętności ich grabarskiej), tylko fakta pomarłe policzyć umiem i odgadnąć. Ha! bogdajby tak było! Wolałbym siebie widzieć martwym i wyrzutkiem narodu, niżeli czcze to widowisko za szczerą rzeczywistość i nieodzowną uznać prawdę".

A o wypadkach w kraju:

„Głuche wieści o Litwie nie ustają, żadnej wszakże pewności: coś jakby w powietrzu, nie na ziemi. Królestwo w takim samym stanie, w jakim go Pani opuściłaś. Reszta (smutno powiedzieć), tracąc charakter polityczny, w pojedyńczości się rozprysła, a że lud mało oświecony w każdej akcji socjalnej tylko wielkie wymiary przedsięwzięcia od niemoralności bronić mogą, przeto jest podobieństwem, że reszta zgasłej partyzantki historycznej myśli nie zostawi, na niedobrym ołtarzu krew przelawszy i pogarszając stan więzionych"[4]).

V

Ze stanowiska politycznego historja musi przyznać Norwidowi rację, ale to, co było wówczas namiętnością życia, znalazło swój wyraz w powieści Żmichowskiej odmienny. Pomijam jednak stronę polityczną zatargu, który Norwida kłócił ze współczesnością. W „Promethidionie" przeniósł on sprawę „opinji" na grunt filozoficzny. Rzecznikiem jej zrobił Wiesława.

Norwid rozróżnia dwa rodzaje opinji. Obowiązuje go, jako siła głosu prawdy bezwzględnej, opinja mistyczna (ojczyzna ojczyzn), pochodząca z głosu ludu i będąca głosem Boga, „bez kształtu prawie i bez linji, głos czegoś". Siedzibą jej jest

[3]) J. L. Popławski: „Pisma polityczne". Kraków 1910. T. I, str. IX.

[4]) List ten wydostał z Bibljoteki im. Ossolińskich prof. Pigoń. Ogłoszony będzie wraz z innemi listami Norwida w całości w „Myśli Narodowej", a potem w książce. — Na podkreślenie zasługuje świadomość Norwida co do wpływów niemieckiej filozofji na jego umysłowość.

sumienie, do którego ścieka kroplami, „jak w mistyczną skrzynię” sens dziejów. Rzecznikami tej opinji są prorocy i wieszczowie.

Wieszczem stawa się człowiek z poczucia piękności, bo piękność kształtem jest prawdy i miłości. Wieszcz określa ten profil. „Stąd zalet całości szukamy w wieszczu, stąd wszyscy wieszczowie rozpoczynali piękności podziwem”.

Tu możemy wymiarkować, co różniło Norwida ze Żmichowską w poglądach na syntezę ideałów: nie działanie (ku dobru) wiedzie do syntezy, lecz piękno, które wykreśla profil prawdy i miłości. Ten profil stwarza całość odjemną prawdy i miłości, „jakbyś wystrzygł nożycami z papieru” i jakby „część tła, co w profil się szczerbami plami”, odleciała. Otóż część ową błękitną (profil) wieszcz „na niebo kładąc, powiada: oto błękitnej prawdy jest plejada”. Owo zaś tło ciemne od profilu odjęte i ku ziemi lecące, bierze w rękę prorok i opinjuje.

A cóż wróżbiarz? Jakąż on opinję dać może? Wróżbiarz nie ma tego polotu co wieszcz, ani mądrości ziemskiej proroka. Wróżbiarz, jeśli lata, to „z fatów, albo z przypadkowości” (z trafunku). „I tak u matki mojej [w ojczyźnie mojej „Matka” wzięta od Żmichowskiej] jest potrosze proroctwa, choć je car i głupstwo tłumi. Car, bo rozumny, głupstwo, bo tchórzliwe, — zamiast oczyszczać depce serce żywe“. Tchórzliwe chyba dlatego, że nie nazywa prawdy po imieniu. Ale i ten dwuznacznik car = czar = czarownictwo nie jest też zbyt jasny.

„I tak wróżbiarze, z trafów się karmiący [5]),
To są dzisiejsi świata politycy.
Kuglarze, fatum słudzy, czarownicy!
Tym wieszcz i prorok — to miecz gorejący!”

Żeby tę rzecz wyjaśnić, Wiesław nakreślił kabalistyczne koło (podobno już w Brukseli ten pomysł produkował). Gwiazda w centrum, to „przenajczystsze narodu sumienie“. A na wszelkie wróżbiarstwo poeta ma pogląd taki, jak kmieć, który „trafowników, powierzchownej prawdy udawaczy nazywa „carownikami“ — (względnie czarownicami):

„A czar ów w nas jest, kiedy się drapujem,
W niewiastach, kiedy anielskości kłamią,
W duchownych, w których ducha mało czujem,
W konspiratorach, co sztylety łamią
Na wykrzykników trupie, w mężach stanu,
Co w oknach lampy palą przez noc całą,
W poetach, ile zaślepiani chwałą...”

Kto czyta „Promethidiona“ z tem wrażeniem, że to jest dyskusja z Warszawą i dlatego tak namiętna, ten doszuka się tu aluzji do konspiratora Dembowskiego. Edmund Żmichowskiej uzasadnia swoje stanowisko wobec tych, którzy na niego „o czyn wołają”. Jego czyn nie jest z koliska ziemskiego; on jest „w linji obwodu”, wśród „wieńca wieszczów”, którzy nadają życiu profil idealny. I to jest syntezą.

VI

Tak się przesilał romantyzm, doszedłszy do miejsca, skąd już drogi niema. W kraju przełożą myśl idealistyczną na pracę i na upartą racjonalność, a ci co na świecie szerokim bez oparcia o ziemię — czy byli za „działaniem”, czy poza niem — złączą się w modlitwie, jako pokutnicy.

Goszczyński, kreśląc krzyżem swą przeszłość, modlić się będzie (1856):

„Jam jest proch, Panie, lecz z duchem, który Ciebie kocha,
Jam proch, lecz z sercem, w którem płacz narodu szlocha,
Jam proch, lecz krwią pokutną przesiąkły, zmiękczony
Z lutnią w piersiach, na których jęczą miljony...” [6])

A za ścianą w innej celi tegoż Paryża Norwid po swojemu ubierał modlitwę w słowa:

„Przez wszystko do mnie przemawiałeś Panie,
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie,
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem,
Pochwałą wreszcie...

Jestem znamię!
Sam głosu nie mam. Panie, dałeś słowo,
Lecz wypowiedzieć któż ustami zdoła?
Przez Ciebie prochów stałem się Jehową.
Twojego w piersiach mam i czczę anioła,
To rozwiąż jeszcze głos — bo anioł woła”.

Zeszli się u jednego celu: i ten, z którego przekazu nowe pokolenie ścigało Norwida za to, że jest tylko artystą, i ten artysta, dla którego tamci byli przedstawicielami bieżącej opinji społeczeństwa, „nie od Boga władzy pochodzącej”, opinji, rozsiewającej „czar („car“) władzy zewnętrznem kłamaniem” [7]). Ale widzimy, że i w modlitwie postawa Norwida wobec Boga jest inna: niema w niej tego struchlenia w Bogu, które rozsypuje człowieka w proch pokory i służebnictwa. Norwid rozmawia z Bogiem nie w osobistym charakterze: „jestem znamię!” Stoi na peryferji spraw ludzkich, jest „chorągwią na prac ludzkich wieży”, przemawia z tego miejsca, gdzie sztuka jest „apostołem najwyższym dzieł ludzkich” i jest już „najniższą modlitwą anioła” [8]).

Jeśli teraz za centrum życia weźmiemy, mówiąc językiem Norwida, ów „astr wnętrzny” — serce ludzkie, to — patrzmy — jak wielkie koło zataczało ono swemi promieniami. Cyrklem tego koła jest artysta.

Wielki to był wysiłek ducha i nietylko artystyczny. Składało się na artystę całe życie, wszystkie „prorocze wnętrzności narodu”:

„Ta cała krata
Promieni, w formy strzelających przedział [profil]
To są prorocze wnętrzności narodu,
A wieszczów wieniec — to linja obwodu,
A wnętrzny koła astr, skąd są promienie,
To przenajczystsze narodu sumienie”.

W owe czasy romantyczne o coś ludziom chodziło. Pisarze polscy porozumiewali się z sobą jeszcze bez pośrednictwa obcych, mających inny „astr” serca i inne kolisko ideałów, ekscentryczne wobec naszego. Nawet gdy walczyli z sobą, była to współpraca, niezmiernie pouczająca dla historyka kultury polskiej. „Prawdą dla prawdy” walczyli i doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że „wnętrzny koła astr, skąd są promienie, to przenajczystsze narodu sumienie”.

14.IX.1935 ZYGMUNT WASILEWSKI

[5]) T. j. karmiący się przypadkowemi zdarzeniami, plotką.

[6]) „Posłanie do Polski”, VII.
[7]) Wiesław w „Promethidionie”.
[8]) Tamże słowa Bogumiła.

GŁOSY

Zamiast fejletonu „Na widowni” Szanowni Czytelnicy zechcą przyjąć powyższy artykuł „Literatura i życie”.

Temat ten jest bardzo aktualny w czasach, gdy otamowana nieszczerością prawda szuka dla siebie dróg w literaturze, a tutaj atmosfery idealistycznej.

Trudno o lepszy wzór zaplatania się dążeń ku ideałom z literaturą, jak owa z przed lat 90 „Poganka”. Do kontynuowania jej rozbioru na łamach „Myśli Narodowej” zachęciły autora liczne głosy czytelników, którzy w tym obrazie historycznym dostrzegli — i słusznie — motyw dramatyczny.

Duch jest jeden na wszystkie potrzeby twórczości i doniosłą rolę spełnia literatura, gdy scalania tego dokonywa. Powiedziano w Piśmie (św. Paweł): „Różności darów są, lecz tenże Duch, i są różności posług, i są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie ducha ku pożytkowi”.

Ale przedewszystkiem musi to być dane pisarzowi. „Okazywanie ducha ku pożytkowi” jest zadaniem literatury. To, co tego nie okazuje, jest surogatem literatury.

Bo o co chodzi? Sfera czysto biologiczna jest za duszna, chwila bieżąca — za ciasna. Gdzież się rozszerzać, jak nie w sferę ducha? Zadaniem literatury (z publicystyką) jest uświadamianie tej prawdy elementarnej i wogóle działanie w sensie poszerzania życia. Gdyby ta tendencja poszerzania idealistycznego biosfery nie przezwyciężała ciążenia ku ziemi, nie byłoby mowy o rozwoju wzwyż cywilizacji. Jej prawem wyrostu jest idealizm. A ten nie może być przez to wyłączną właściwością tylko literatury, przenikać musi całą duchowość, boć literatura jest tylko jej wyrazem.

Autor omawianego szkicu dlatego tak obszernie potraktował zdarzenie literackie z dziejów idealizmu polskiego, aby się uwidoczniło to, co przy pobieżnem czytaniu uchodzi zwykle uwagi, mianowicie wewnętrzny mechanizm rodzącego się utworu poetyckiego: ile on wciąga duszy osobistości piszącej, a z nią ile życia okólnego i dziejowego. W osobistości tworzącej, jak w tyglu, przetwarza się na symbol surowiec życia, a tym ogniem trawiącym jest duch, usiłujący wytopić z życia prawdę — pierwiastek wieczny.

Ten pierwiastek jest tajemnicą trwałości dzieł sztuki. *Vita brevis, ars — longa.*

Z. W.

VI ZJAZD HISTORYKÓW POLSKICH W WILNIE

W dniach 17—20 b. m. obradował w Wilnie VI Zjazd Powszechny Historyków Polskich, który zgromadził zgórą 400 uczestników. Rozpoczęty uroczystem nabożeństwem w kaplicy Ostrobramskiej, odprawionem przez ks. arcybiskupa Jałbrzykowskiego, posiedzenie inauguracyjne odbył w dostojnej swą klasyczną kolumnadą Sali Śniadeckich w Uniwersytecie S. B. Jednomyślnie obrany przewodniczącym Zjazdu, sekretarz generalny Akademji Umiejętności, prof. Stanisław Kutrzeba, w pięknem przemówieniu wskazał na rolę historji w życiu Narodu, i zobrazował rozwój nauk historycznych w Polsce w ciągu lat ostatnich.

Stwierdził, iż rola historji, tej mistrzyni życia, polega głównie na jej udziale w kształtowaniu świadomości narodowej, na wyjaśnianiu, co nas wiąże z pokoleniami poprzedniemi i na umożliwianiu przewidywań na przyszłość. Wskazywał, jak wielkie było znaczenie nauk historycznych w okresie rozbiorów, gdy nie posiadaliśmy własnego państwa i jak odmiennie wygląda nasz obecny stosunek do historji naszej ojczyzny teraz, gdy inne warunki życia każą nam inaczej patrzeć na dzieje Polski i nie pozwalają potępiać przeszłości tak bezwzględnie, jak to czyniło wielu historyków w wieku XIX, zbyt pesymistycznie mówiąc i pisząc nawet o sławnych kartach dziejów państwa polskiego w w. XIV i XV.

Drugą część swego przemówienia prof. Kutrzeba poświęcił pracom historycznym lat ostatnich. Omówił w krótkości wydawnictwa Polskiej Akademji Umiejętności jak „Akta unji Polski i Litwy”, „Ordynacje wojskowe w. XV-go“ i t. p. Wreszcie zwrócił uwagę na zdrowy ruch regjonalny, przejawiający się w ostatnich czasach, który ilustrują dobitnie prace Instytutu Bałtyckiego i Śląskiego, monografje dotyczące historji województwa Krakowskiego, Ziemi Czerwieńskiej, oraz opracowanie historji Druji i powiatu Brasławskiego.

Mówiąc o pracach w zakresie historji współczesnej wspomniał działalność na tem polu czasopisma p. t. „Niepodległość”, oraz poważną, dwutomową monografję Marjana Seydy p. t. „Polska na przełomie dziejów“. W dziedzinie historji wojskowości wymienił z uznaniem zasługi prof. Wacława Tokarza i prof. Marjana Kukiela.

Po przemówieniu prof. Kutrzeby ukonstytuowały się władze Zjazdu w składzie następującym:

Prezydjum honorowe: K. Chyliński, Wł. Abraham, Br. Dembiński, ks. J. Fijałek, Fr. Papée, J. Kochanowski, L. Krzywicki, M. Zdziechowski, W. Staniewicz.

Prezydjum Zjazdu: Przew.: St. Kutrzeba, wiceprezesi: F. Bujak, S. Ehrenkreuz, O. Halecki, M. Handelsman, St. Kętrzyński, Wł. Semkowicz, K. Tymieniecki, Wł. Konopczyński.

Przewodniczący sekcyj: I. Historji politycznej—L. Kolankowski. II. Historji prawa — J. Siemieński. III. Historji społecznej i gospodarczej — J. Rutkowski. IV. Historji kultury — St. Kot. V. Historji wojskowości — E. Perkowicz. VI. Histo-

rycznych nauk pomocniczych — Wł. Semkowicz. VII. Historji starożytnej—L. Piotrowicz. VIII. Nauczania historji—J. Dąbrowski.

Oczywiście, niemożliwe byłoby, w krótkiej notatce informacyjnej, streszczać wygłoszone referaty, ani oceniać wartość naukową dorobku zjazdowego, o którym tylko „Pamiętnik Zjazdu" może dać właściwe pojęcie. Co wszakże rzuca się każdemu w oczy i zasługuje na szczególne uwydatnienie,—to, mianowicie, ogrom pracy historyków polskich, poświęconej badaniu dziejów dawnej Litwy. Zagadnienia, z dziejami temi związane, dominowały w obradach Zjazdu, odbywającego się w 550-tą rocznicę unji krewskiej, kiedy to obrany na króla polskiego Władysław Jagiełło (r. 1385) inkorporował był Wielkie Księstwo Litewskie do Polski. Poczynając od referatu prof. L. Kolankowskiego p.t. „Jagiellonowie wobec unji polsko-litewskiej", lwią część swych rozpraw poświęcili uczestnicy zjazdu kwestjom, pośrednio lub bezpośrednio z przeszłością ziem litewskich związanym.

Uczeni z t. zw. Litwy Kowieńskiej na Zjazd nie przybyli, nadając nieobecności swej charakter manifestacji politycznej, przedewszystkiem jednak obawiając się bodaj konfrontacji ubóstwa badań swych nad historją dawnej Litwy w zestawieniu z wynikami pracy uczonych polskich na tem polu. Coprawda też, wszystkie ważniejsze fakty z dziejów litewskich rozgrywały się na obecnem terytorjum Państwa Polskiego, podczas gdy dzisiejsza Litwa Kowieńska, czyli, mówiąc historycznie, dawniejsze starostwo żmudzkie, w przeszłości owej drugorzędną, regjonalną tylko odgrywało rolę.

Z uroczystościami zjazdowemi połączono poświęcenie i otwarcie nowego gmachu archiwum państwowego w Wilnie oraz otwarcie wystawy p. n. „Polska i Litwa w dziejowym stosunku", grupującej szereg nader cennych dokumentów, pieczęci i rycin, obrazujących współżycie polsko-litewskie na przestrzeni wieków.

ZE ŚWIATA SZTUKI

CZERMAŃSKI I CHROSTOWSKI

OBIE WYSTAWY w IPS-sie, Czermańskiego i Chrostowskiego, zostały poświęcone osobie marszałka Piłsudskiego, lub zdarzeniom z jego osobą związanym.

Czermański, uprawiający karykaturę i pewien rodzaj rysunku charakterystycznego, jest u nas jednym z najlepszych rysowników. W wystawionym cyklu portretów Piłsudskiego, podjął się zadania, które nasi plastycy nieraz próbowali rozwiązać, niestety, przeważnie z wynikiem ujemnym. Wiemy dobrze, że wielka ilość, dotychczas wykonanych portretów Piłsudskiego, przedstawia się pod względem artystycznym raczej słabo, a czasem wręcz skandalicznie, nie mówiąc już o absolutnym braku podobieństwa. Jeśli może istnieć obraza dostojnika państwa w piśmie, lub słowie, to możemy ją sobie również wyobrazić i w ujęciu plastycznem. Taką właśnie obrazą było wiele rzeźb, pokazanych w roku ubiegłym, na wystawie konkursowej w IPS-ie. Czemu to przypisać, jeśli się zważy, że do szrank stawali niejednokrotnie nasi wybitni plastycy? Głowa Piłsudskiego należy do bardzo charakterystycznych, więc, stosownie do utartego mniemania, nie powinna portrecistom sprawiać wielkich trudności. Otóż właśnie te cechy charakterystyczne stały się niebezpieczną rafą, o którą się rozbijały wysiłki naszych plastyków. Pamiętano o wąsach, o brwiach krzaczastych, zapominano o reszcie. Dzięki kuszącym swą pozorną łatwością cechom charakterystycznym, plastycy zbyt skłonni się stali do tworzenia z tej głowy schematu. Schematu, który był słabem echem pierwowzoru, zupełnie pozbawionem życia. Ta pamięciowa (i szablonowa) formuła, tak w rzeczywistości interesującej plastycznie twarzy, nie kontrolowała swej treści przez zestawienie z naturą.

Przy tej okazji nie od rzeczy będzie wykazać fałsz popularnej legendy o łatwości głów charakterystycznych. Starzec z brodą, „typ" — to temat, jak głosi fama, wdzięczny i malowniczy. Nic podobnego. Takie głowy są już gotowe w naturze; ich malowniczość, dosadność, została wydobyta przez samą naturę i plastyk nic tu już nie ma do roboty, tylko taką gotową stylizację powtórzyć. Oczywiście prawdziwie twórczego artystę to nie zadowala, bo grozi fotograficznością, i ten musi nieraz dobrze się namozolić, zanim dokona przemiału dostarczonych mu przez naturę wartości, nie zatracając jednocześnie istoty modela. Z tego punktu widzenia, głowy, dla innych szare, niepozorne, niezdecydowane, są dla prawdziwie twórczych malarzy materjałem łatwiejszym, gdyż dopiero plastyk wydobywa ukryte w nich wartości, co jest prawdziwem zadaniem sztuki.

Trzeba jeszcze dodać, że powszechność, przypisując wybitnym jednostkom pewne cechy, rzeczywiste, lub urojone, oczekuje ujawnienia ich w sposób plastyczny w portrecie.

Na tle powyższych wywodów staje się zrozumiałe, iż do sportretowania takiej głowy, jak marszałka Piłsudskiego, powinien przystąpić albo fotograf, albo artysta, który potrafi ustosunkować się w sposób czynny i nie konwencjonalny do rzeczywistości, narzucającej mu, w tym wypadku, swoją wizję bardzo kategorycznie.

Czermański wybrał drogę naturalizmu; jego portrety, gdyby nie technika, byłyby niemal fotograficzne. Nie mają one monumentalności (o co artyście zapewne nie chodziło), za to zniewalają nas bystrem i trafnem podpatrzeniem prawdy. Cykl portretów Czermańskiego należy do najlepszych wizerunków Piłsudskiego.

Druga serja rysunków, zatytułowana: „Józef Piłsudski na Syberji", inaczej już jest traktowana. Wydobywa w niej Czermański z pejzażu syberyjskiego cechy najbardziej istotne i potęguje je, a pomija rzeczy mniej ważne, dając w ten sposób eliksir rzeczywistości. Pozatem serja ta nie odbiega w typie od znanych już portretów miast znakomitego karykaturzysty.

Z podobną, w temacie, wystawą wystąpił Stanisław Chrostowski. Wyborny technik drzeworytu wykazał dalsze postępy w tym zakresie i, niestety, większą jeszcze może, niż poprzednio, zależność od drzeworytu sowieckiego. Nieporównany i zasłużony w dziale zdobnictwa książki, znakomity ekslibrisista, w pracach, gdzie ju sama ornamentyka, ani koloratura cięcia nie wystarcza, nie potrafił zdobyć się dotychczas na samodzielną wizję artystyczną. Znając niepoślednie wartości

charakteru artysty, miejmy nadzieję, iż w pracę nad rozwojem tej strony swego talentu, zechce włożyć tyle samo wytrwałej woli, ile jej wykazał przy zdobywaniu obecnych pozycyj.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„POWRÓT MAMY" W TEATRZE NOWYM

NAJBARDZIEJ renomowani, najradykalniejsi bojownicy postępu — moskiewscy bolszewicy — nietylko już od dawien dawna nie propagują tak modnej w początkowym okresie *regime*'u rewolucyjnego socjalizacji kobiet, ale wprost przeciwnie — popierają jaknajintensywniej dyskredytowaną niegdyś instytucję rodziny, utrudniają coraz bardziej ułatwiane niegdyś rozwody, których — jak donoszą ostatnie telegramy — w związku socjalistycznych republik sowieckich nie można będzie na przyszłość otrzymywać bez kłopotliwego i prawdopodobnie kosztownego przewodu sądowego, wreszcie potępiają oficjalnie ustami i piórami najbardziej autorytatywnych działaczy politycznych wszelką wogóle niemoralność, w szczególności zaś wyuzdanie płciowe.

Z drugiej strony Oceanu głośny amerykański reformator społeczny, sędzia Lindsay — który jeszcze nie wiele lat temu ku aplauzowi wolnomyślicieli żydowskich i masońskich całego świata zachęcał powojenne pokolenie młodzieży do zawierania na próbę tymczasowych małżeństw koleżeńskich— zdążył już przekonać się, że owe małżeństwa nie wydały pożądanych przez ich inicjatora rezultatów moralnych, zaprzestał jakiejkolwiek za niemi agitacji i uroczyście odwołał swoje poglądy.

Nawet w zacofanej tak bardzo pod wielu względami Warszawie, nawet na naszym, odciętym od szerokiego świata taksą paszportową i nędzą powszechną partykularza, girlasy rewjowe przywdziały z powrotem zarzucone za przykładem Paryża i Nowego Jorku na pewien czas biusthaltery, a poczytne czasopismo „Wiadomości Literackie" od długiego szeregu miesięcy wyrzekło się zamieszczenia na swoich łamach fotografij nagich kobiet i sensacyjnego dodatku pod tytułem „Życie świadome".

Wobec owych notorycznych faktów nie możemy oczywiście być ani bodaj odrobineczkę zdziwieni, że pisarka tak bardzo nowoczesna i tak bardzo postępowa, jak autorka „Zalotników niebieskich", prześlicznego „Wachlarza" i równie prześlicznej „Różowej magji", p. Marja z Kossaków Jasnorzewska-Pawlikowska, podążając pośpiesznie za zmieniającą się kapryśnie modą, napisała komedję w trzech aktach, poświęconą obronie wierności małżeńskiej, której wyszydzanie przestało już być nareszcie kardynalnym obowiązkiem szanujących się snobów.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis — jak słusznie twierdzą szóstoklasistki uczące się łaciny.

A jeszcze przecież nie tak znowu dawno, bo jeżeli nas pamięć nie zawodzi — zaledwie jakiś rok, może nawet niespełna, temu—zdawaliśmy na tem samem miejscu sprawę z innego utworu komedjowego tej samej sympatycznej autorki, z utworu wystawionego również w Teatrze Nowym i bodajże również na otwarcie sezonu, z komedji, noszącej tytuł „Egipska pszenica", a będącej arcyelokwentną, płomiennie namiętną obroną praw do pełnego, jaknajpełniejszego erotycznego wyżycia się zagrożonej rychłym przekwitem kobiety.

Napisanie tamtej komedji nie przeszkadza bynajmniej pani Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej wydrwiwać dzisiaj z niemiłosiernem zaiste okrucieństwem zagrożonego rychłym uwiądem mężczyzny, który pomimo farbowanych na złocistoblond kolor kędziorów i pomimo kauczukowego już prawdopodobnie podniebienia ośmielił się (o zgrozo!) zapałać przelotnem uczuciem do młodszej dosyć grubo od siebie dziewczyny i omal (!) nie zdradził przywiązanej do niego serdecznie, nader miłej i wcale jeszcze przystojnej, prawowitej małżonki, od której on sam jest młodszy — jak powiada dowcipnie autorka — zaledwie o jedną paczkę henny.

O pani Marjo! O dobra wróżko różanej magji! Czy to ładnie być aż tak dalece stronną? Czy to się godzi? A więc co wolno starszej pani, tego starszemu panu nie wolno? Piękna mi sprawiedliwość!

Tytuł sztuki brzmi z mickiewiczowska: Powrót mamy.

Sumienie każe przyznać, że jest to dobry tytuł. Trafny. Lapidarny. Dowcipny. Jest w utworze pani Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej wcale spora garść równie dobrych i jeszcze lepszych powiedzeń, powiedzonek, kalamburów, dowcipów, dowcipków, dowcipuszków i aforyzmów, czasem mocno, na fest, wszytych w djalog, czasem luźno do niego poprzyfastrygowywanych. Stanowią one niewątpliwie główny wdzięk komedyjki pod wielu względami niestety szwankującej, skonstruowanej chaotycznie, napisanej dosyć nieporadnie i — co tu owijać w bawełnę — niezbyt smacznej.

Akcja „Powrotu mamy" rozgrywa się w czasach dzisiejszych, w Krakowie. Autorka wprawdzie Krakowa nie wymienia, ale o krakowskości sztuki świadczą wymownie specyficzne obyczaje jej bohaterów, klimat moralny utworu, egzemplarz „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", czytany na scenie w drugim akcie i wiele innych poważnych poszlak z których najbardziej niezbitą jest lokalna krakowska gwara, którą się osoby, występujące w sztuce — nie jestem pewien, czy umyślnie, czy też przez niedopatrzenie autorki — posługują. Tata w akcie trzecim cieszy się naprzykład „na powrót" mamy. Jest to niewątpliwie zwrot typowo krakowski. *Auf etwas*. Widmo ś. p. nieboszczki c. k. monarchji austrjacko-węgierskiej uśmiecha się do nas z kąta sceny

Rodzina, którą nam pani Marja Jasnorzewska-Pawlikowska w „Powrocie mamy" zaprezentowała, należy do zamożnej sfery burżuazyjnej. Spokrewniona jest i zaprzyjaźniona z ziemiaństwem. Posiada portrety prababek. W domu tych Ostoja-Rembertów, popisujących się herbem szlacheckim z zabawną ostentacją (doskonałe jest zawołanie rodowe: Forsy! Forsy!) panują dziwne obyczaje. W pierwszym akcie Rembert junior (na imię mu Adrjaś) pozwala rodzonej siostrze (na imię jej Beata), panience studjującej filozofję na uniwersytecie Jagiellońskim — odpisywać na listy miłosne, które chłopaczek ów otrzymuje w nieprawdopodobnych zaiste ilościach od dam i damulek najrozmaitszej kondycji (hrabin i ścierek), przeważnie jednak podobno od pań z tak zwanego dobrego towarzystwa. Adrjanek chełpi się swoją niedyskrecją. Dumny jest z tego, że nie jest ani trochę gentlemanem. Gwiżdże na tak zwany honor. Raz po raz daje wyraz swojej pogardzie dla przesądów skodyfikowanych przez p. Boziewicza. Kodeksem honorowym dla tego miłego gagatka są najprawdopodobniej sławne w Krakowie do dziś feljetony Boya-Żeleńskiego, poświęcone wyszydzaniu kodeksów honorowych. Otóż ów donżuanik krakowski cieszący się fenomenalnemi łaskami u traktowanych przez siebie *per nogam* pań, kocha fanatycznie swoją matkę. Jest ona w jego oczach ideałem kobiecości. Ponieważ zaś kocha mamę, więc bierze za złe papie, wytwornemu po krakowsku kobieciarzowi, w stylu przedwojennym, że papa ów flirtuje z niejaką panną Dianą Castor. Ta panna Diana to półdziewica, strzegąca zazdrośnie swojej cnoty. Zarobkuje ona jako biuralistka w banku, a w godzinach pozabiurowych rozpłomienia pana Remberta senjora — jak się to mówi—do białokaleniu. Córeczka dyrektora Remberta bardziej jest wyrozumiała, niż jego syn. Panieneczka ta tyle się naczytała wierszyków pani Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, tyle się nasłuchała i napatrzyła jej sztuk teatralnych, że ma poglądy na miłość i małżeństwo bardzo liberalne. Powołując się na dzieła Russela i Freuda rozgrzesza ona papę całkowicie

i nic nie miałaby przeciw temu, żeby starszy pan nawiązał z Dianą regularny romans.

Pod nieobecność mamy, bawiącej na wakacjach na wsi u krewnych, papa zaprosił pannę Castorównę na podwieczorek do rodzinnego domu. Córeczka podejmuje platoniczną dotychczas przyjaciółkę ojca keksem, likierem i czarną kawą. Aż tu nagle i niespodziewanie mama wraca. Idylliczny podwieczorek zostaje przerwany. Mama, na szczęście, jest osobą bardzo dobrze wychowaną. Nie urządza żadnych awantur. Poprostu wyprowadza się z domu i przenosi do hotelu. Ku zgorszeniu córeczki, która uważa, że postępek mamy trąci staroświeckiem zacofaniem. Dyrektorowi Rembertowi (autorka omieszkała nas poinformować, jakiej mianowicie instytucji jest on dyrektorem) postępek żony sprawił ogromną przykrość. Egoistyczny ów erotoman czuje się pokrzywdzony. W gruncie rzeczy kocha on po swojemu miłą żonę, do której przyzwyczaił się, jak do pary wygodnych pantofli. Sentyment jego do panny Diany nie jest bynajmniej głęboki. Rembert pragnąłby zachować żonę i posiąść Dianę jako kochankę. Opuszczenie domu przez panią Rembertową trzeba jakoś upozorować wobec znajomych, wobec opinji publicznej. W Krakowie tak bujnie przecież plenią się plotki! Rembert zatem sprowadza czemprędzej do mieszkania malarzy i tapicerów i nakazuje przeprowadzić jeneralny remont.

Sytuacja bardzo się zawikłała. Mama nie chce słyszeć o powrocie do domu, dopóki papa nie przestanie przyjaźnić się z Dianą. Najgorsze to, że Diana to osóbka nader ambitna. Ani myśli zostać kochanką Remberta przed przeprowadzeniem regularnego rozwodu. Biuralistka owa wbiła sobie w głowę, że zostanie dyrektorową. Dąży do tego celu uparcie. Ani rusz nie można jej tego wyperswadować.

Otóż rozwikłania sytuacji podejmuje się w trzecim akcie kochany Adrjaś. Zwabia on Dianę do siebie, do tak zwanej swojej garsoniery, która to garsoniera czyli po polsku „kochalnia", krakowskim obyczajem mieści się w domu jego rodziców, upija dziewczynę paru kieliszkami koniaku, zaleca się do niej, rozbiera ją do koszuli i w tym stanie pokazuje ją ojcu, w celu skompromitowania lafiryndy w oczach starszego pana. Za postępek ów Adrjaś — benjaminek autorki—postać obdarzona przez panią Jasnorzewską-Pawlikowską pełną sympatją — zostaje srodze przez swego rycerskiego względem kobiet papę zbesztany. Całkowicie się z papą solidaryzujemy. Ten Adraś to poprostu obrzydliwiec.

Brzydka operacja okazała się jednak skuteczną. Adrjaś postawił na swojem. Diana odeszła popłakując. Papa wyrzekł się jej. Mama ostatecznie powraca do domu.

Wolnomyślna Beatka — pilna niewątpliwie czytelniczka artykułów Ireny Krzywickiej w „Wiadomościach literackich", Beatka, która przez dwa akty komedji uznawała zazdrość w miłości za niegodny nowoczesnej kobiety staroświecki przeżytek, wybucha pod koniec sztuki płaczem na wiadomość, że narzeczony jej — głupi bęcwał nazwiskiem Głaszcz — nawiązał stosunek z inną kobietą. Te łzy Beaty wzruszają nas przez chwilę tak, jakby były łzami samej autorki, której liberalna ideologja dotychczasowa najoczywiściej zbankrutowała.

Jest w sztuce pani Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej jedna scena doskonała. Scena, w której garsonierę Adrjasia odwiedza niejaka pani Kundzia (szwaczusia krakowska, czy też coś w tym rodzaju). Komiczność owej sceny polega na tem, że owa Kundzia wtrąca do rozmowy raz po raz francuskie zwroty, których nie umie wymawiać. Adrjaś ją nieco starannie poprawia. W pewnej chwili pada z jej ust wyborna *riposta*:

— Ja po francusku tak mówię, jak myślę.

Wielka szkoda, że epizod ten jest sztucznie do komedji przyłatany, przemocą włtoczony w ramy konstrukcji. Kundzia w sztuce zjawia się niewiadomo po co. W akcji komedjowej udziału nie bierze. Jest zbyteczna. Zbyteczna również, a w każdym razie niedostatecznie umotywowana jest brutalność Adrjusia wobec Diany. Stary Rembert zerwałby z ową dziewicą napewno, gdyby ją przychwycił na pocałunku z Adrjasiem, lub z kimkolwiek innym. Pocóż było biedną dziewczynę rozbierać aż do rosołu. Pani Pawlikowska-Jasnorzewska pisząc ten epizod zapomniała najwidoczniej, że nagość na scenie wyszła już z mody. Najniepotrzebniej zakłóciła efektem już przestarzałym nowoczesność komedji.

Dobre dowcipy, w które — jak już wspomniałem — „Powrót mamy" obfituje, wynagradzała publiczność premjerowa huraganowemi salwami oklasków.

Teatr Nowy wystawił komedję dosyć starannie, aczkolwiek obsady ról nie możemy uznać za najszczęśliwszą. Pan Grabowski cokolwiek przerysował rolę starego Remberta. Zanadto akcentował jego neurastenję, a za mało rycerskość i grację podstarzałego *viveura*. Pani Piaskowska w roli Diany Castorówny miała dostateczną porcję urody i wdzięku, ale za mało uwodzicielskiej rutyny. Kapitalnie odegrała pani Żabczyńska rolę Kundzi. Bardzo dobra była również pani Gellówna w roli mamy. Pan Ziembiński włożył w rolę Adrjasia aż za wiele entuzjazmu. Antypatyczność tej postaci mniejby biła w oczy, gdyby odtwórca jej potraktował ją dyskretniej. Stanowczo nadużywał niektórych efektów. Naprzykład poklepywania swojej siostry po biodrach. Pani Kamińska nie podołała ważnej roli Beatki. Dała zaledwie blady zarys tej figury zasługującej na potraktowanie bardziej wyraziste. Pan Żukowski niewiele potrafił wydobyć z epizodycznej rólki narzeczonego Beaty. Według intencji autorki ów tenisista Głaszcz powinien być czarującym głuptasem. Pan Żukowski uwydatnił wprawdzie głuptactwo Głaszcza, ale czaru, którym młodzieniec ów zniewala serca kobiet, nie objawił ani trochę. Powinien był również przed przedstawieniem nauczyć się obchodzić z rakietą tenisową. Ewolucje, które z nią wyczyniał, były nieprawdopodobne.

S. J. G.

NA MARGINESIE

Na wieczną rzeczy pamiątkę przytaczamy poniżej komunikat literacki z Wilna. Styl sanacyjny. Model 1935.

„Jury dorocznej nagrody literackiej im. Filomatów, przeznaczonej dla literata wileńskiego piszącego po polsku, na posiedzeniu swem w dniu 19.IX r. b. jednogłośnie postanowiło przyznać tę nagrodę Wandzie Dobaczewskiej za powieść pod tytułem „Zwycięstwo Józefa Żołądzia", biorąc pod uwagę wartości literackie, społeczno-państwowe i ideowo-moralne tej powieści".

Czystość stylu sanacyjnego nadzwyczajna: dolara temu, kto znajdzie w Wilnie u Filomatów ślad pojęcia „Polak", albo „Naród".

Niema w Polsce r. 1935 literata Polaka, są literaci „piszący po polsku", niema wartości narodowych, są — społeczno-państwowe... Szkoda, że nie określono ściślej tych wartości; może to są społeczno-policyjne, może ubezpieczeniowe?

W gnieździe Mickiewicza!

*

Bez busoli narodowej. Monolog.

To dziwne — rezonuje nowy poseł, p. Hocki-Klocki — jak to w polityce się składa. Będę np. popierał politykę pro-niemiecką, a nie wolno mi patrzeć, co oni tam robią z żydami i wogóle... Politycznie muszę się boczyć na Rosję, ale na płaszczyźnie kultury wolno mi penklubować z bolszewikami.

Polityka to bardzo zawiła rzecz do spamiętania — wszystko na opak. Naprzykład: wiem, że żydzi to nasza klęska, ale, jako polityk, muszę ich uważać za jedyny żywioł państwowo-twórczy. Jestem przecież — nieprawda?— patrjotą, a muszę traktować obóz narodowy za szkodnika i wroga.

Najtrudniejsza rzecz to zrozumieć, o chodzi, i mieć taką minę, jakby się wiedziało.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.